

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 15 (33)

Jerozolima, 1 sierpnia 1944 r.

Rok II

ALEKSANDER THEN

POWOJENNA ORGANIZACJA ŚWIATA

Jakkolwiek wojna trwa jeszcze, od dłuższego już czasu wysuwane są z wielu stron różne próby nowej organizacji świata, której celem byłoby zapobieżenie nowej wojnie. Trzejmi mężowie stanu z Rooseveltem na czele nie wierzą wprawdzie, by obecna wojna była ostatnią, dążą jednak do ograniczenia możliwości wojny. Po poprzedniej wojnie — niestety — wszyscy usiłowali wierzyć, że była ona ostatnią, i dlatego zapewne nowa wybuchła tak wcześnie.

Jednym z pierwszych projektów powojennej organizacji świata był oślawiony projekt „Timesów”, opublikowany dnia 10 marca 1943 r., a przewidujący pozostawienie po wojnie tylko czterech uzbrojonych mocarstw: Wielkiej Brytanii, Rosji, Stanów Zjednoczonych i Chin. Reszta państw, nawet tak wielkich jak Francja i Polska, miałyby ulec rozbrojeniu, a pospołu z pokonanymi napastnikami w tej wojnie.

Autor artykułu w „Timesach” wychodził z założenia, że organizacja bezpieczeństwa na wschód od Niemiec nie dała rezultatów, oparta bowiem została na państwach małych i zbyt słabych, by mogły do bezpieczeństwa zapewnić. Oczywiście. Ale przecież mocarstwa zachodnie wykazały w całym okresie powersalskim duży brak poczucia odpowiedzialności za stan rzeczy, jaki ustaliły na wschód od Niemiec. Brak realizmu politycznego w ministerstwach spraw zagranicznych gwarantów pokoju europejskiego nie pozwolił widzieć wszystkich szantażów, dokonywanych przez Hitlera na zaslepionej Europie, nie pozwalał widzieć przygotowywanej w Niemczech od r. 1935 w coraz szybszym tempie wojny. Ta pozbawiona realizmu polityka doprowadziła do Anschlusu, do Monachium, do stworzenia w samym sercu Europy protektoratu niemieckiego nad innym narodem, wreszcie do otwartego ataku na Polskę, a w konsekwencji — do nowej wojny światowej.

Pierwsze próby samobójstwa

Podważanie zasad Traktatu Wersalskiego zapoczątkowane zostało nie przez Niemców, ale przez samych Sojuszników z poprzedniej wojny, których rządy nie zawsze poczuwały się do odpowiedzialności za stan rzeczy, ustalony przez rządy poprzednie. Gdy rok 1924 przyniósł zwycięstwo zarówno we Francji, jak i w Anglii kierunkom radykalnym, zasady Traktatu Wersalskiego zostały obalone na Konferencji Londyńskiej w r. 1924. Wojska sojusznicze zostały wycofane z zagłębia Ruhry, a Niemcom przyznane zostały pierwsze ulgi w spłacie odszkodowań. Po tym wyłomie poszły inne. Po planie Davesa przyszło Locarno, za Locarno plan Younga, przyznanie Niemcom teoretycznego równouprawnienia zbrojeń, milcząca zgoda na odbudowę armii niemieckiej w r. 1935, bezczynne przypatrywanie się okupacji zdemilitaryzowanej strefy Nadrenii w roku następnym, co stanowiło przekreślenie Traktatu Lokarnenckiego, który przecież nie był „dyktatem”, lecz dobrowolnym zobowiązaniem Niemiec za cenę wielkich ustępstw na ich korzyść.

Czy w tej polityce można się dopatrzeć pewnej konsekwentnej linii? Zapewne, ale nie wersalskiej, lecz linii ciągłych ustępstw na rzecz Niemiec kosztem ich wschodnich sąsiadów. Wszak już Locarno otwierało przed Niemcami wielkie perspektywy na Wschodzie, gwarantując platoniczne jedynie bezpieczeństwo nad Renem. Wszak po Monachium Niemcy hitlerowskie czuły się tak silne, że von Ribbentrop przybył w grudniu 1938 r. do Paryża z wyraźną propozycją pozostawienia Niemcom wolnej ręki na Wschodzie i wyjechał z bardzo zachęcającymi niedomówieniami ówczesnego ministra spraw zagranicznych Francji, George Bonnet'a, czego francuska Żółta Księga bynajmniej nie ukrywa.

Łabędzi śpiew Niemców

Mocarstwa zachodnie, zamiast się dozbierać, rozbijały się w tym czasie, ukołysane łabędzim śpiewem Stresemanna najpierw, następnie Hitlera, dla którego każda nowa zdobycz miała być stanowczo ostatnią. Niemiec-kie dywizje pancerne powstały jedna po drugiej w ramach rzekomo dwudziestu korpusów, postawionych na nogi przez Hitlera jego słynnym aktem z marca 1935 r.

Dzisiejsza wojna jest następstwem owej wieloletniej polityki ustępstw, tylokrotnie już potępionej przez angielskich mężów stanu podczas obecnej wojny.

Zapewne; stan rzeczy ustalony na wschód od Niemiec w r. 1919 był zły, ale odpowiedzialność zań w żadnym wypadku nie może spaść całkowicie na wschodnich sąsiadów Rzeszy. W myśl zasady Wilsona: każdy naród we własnym państwie — stworzono na wschód od Niemiec szereg małych organizmów państwowych, strzegących zazdrośnie swej zupełnej suwerenności i wrogich wszelkim silniejszym związkom. Wszak każdy z krajów bałtyckich liczył mniej ludności, niż Wielki Berlin, a wszelkie próby rządów polskich skupienia tych krajów wokół siebie rozbiły się o faktyczny opór lub o samobójczą megalomanię. W tych warunkach owe mniejsze i większe państwa na wschód od Niemiec nie mogły zabezpieczyć pokoju w tym rejonie. Ale czy wielkie mocarstwa zachodnie zdolne były do zabezpieczenia pokoju na zachodniej granicy Niemiec? Rok 1940 wykazał, że nie.

Pokerowa Czwórka

Z pokerowej konstelacji czterech asów, proponowanych przez autora w „Timesach”, ani jeden nie reprezentuje państwa europejskiego w ścisłym znaczeniu tego słowa. Wielka Brytania leży na wyspach poza właściwym kontynentem europejskim, wykazuje jednak bardzo wiele związków z Europą, mimo konieczności prowadzenia polityki imperialnej. Rosja potężnym swym odwołaniem leży w Azji. USA balansuje stale między interwencjonizmem a izolacjonizmem. Wszak już Wilson stoczył musiał zaciętą walkę z Senatem w obronie interwencjonizmu, polityki wersalskiej i Ligi Narodów, która była tworem jego ducha, i przegrał tę walkę zdecydowanie. Ameryka odgrodziła się od polityki europejskiej zupełnie wyraźnie nazajutrz po Wersalu i trzeba było umiejętnego — o, jakże umiejętnego — działania Roosevelta, by wielkie dzieci amerykańskie ponownie zainteresować losami objętej pożogą wojny Europy i stworzyć dla Zjednoczonych Narodów arsenał amerykański; by przekonać obywateli, że izolacjonizm jest głupotą w okresie wojny, gdyż może ona sięgnąć i do brzegów Ameryki. Nie pomylił się i zasługą jego było bodaj częściowe przygotowanie swego narodu i państwa na wielkie zmagania w czterech częściach świata.

Czwartym asem w owej pokerowej czwórce miałyby być Chiny, powołane do udziału w regulowaniu spraw Europy w równym stopniu, co tamci trzej partnerzy w regulowaniu spraw Azji. Trudno sobie doprawdy wyobrazić rezultat chińskiej interwencji w sprawach europejskich. W sprawach samej Azji natomiast większą rolę mogłaby odegrać Francja, związana z Azją swymi posiadłościami, aniżeli Chiny, które wciąż jeszcze stanowią i długo stanowią będą ogromną, lecz mało ruchliwą, inercyjną masę. Proces emancypacji Chin nie osiągnie tak szybko stycznej z wielką polityką międzynarodową.

Projekt Churchilla

Zaledwie minister Eden zdezawuował prywatny projekt „Timesów”, gdy dnia 21 marca 1943 r. premier Churchill wyjawiał przed opinią publiczną zarys swego projektu powojennej organizacji... ale tylko Europy. Projekt, który w szczegółach nie został zapewne opracowany, gdyż nie zostały one ujawnione, przewiduje trzy elementy:

- 1) Radę Europejską,
- 2) Trybunał Europejski,
- 3) Siły zbrojne dla wykonywania w razie potrzeby wyroków Trybunału.

Projekt przewiduje udział w Radzie wielkich mocarstw europejskich i federacji regionalnych mniejszych państw. Projekt ten został jednak mocno zachwiany w swych podstawach przez wyraźnie nieprzychylny stosunek Rosji do systemu federacji. Federacja środkowo-europejska wokół trzonu Polska-Czechosłowacja została już stordowana. Zdaje się, że na skutek działalności Tito taki sam los spotkał federację bałkańską z trzonem Jugosławia-Grecja. Jeśli idzie o Europę, polityka sowiecka zdaje się zmierzać wyraźnie ku podziałowi na sfery wpływów między dwa

zwycięskie mocarstwa, Rosję i Wielką Brytanię. Trudno przewidzieć, czy taki podział zmniejszy się w ramach ogólnej organizacji świata, zaproponowanej zresztą przez Rosję.

Projekt czterech senatorów

Obok tych projektów angielskich, z których pierwszy omówiliśmy szerzej, stanowi on bowiem niejako prototyp wszystkich dalszych, posiadamy również dwa amerykańskie: jeden prywatny i jeden oficjalny. Oba są dalej idące od dość ciasnego, europejskiego projektu premiera Churchilla.

Pierwszym z projektów amerykańskich jest prywatny projekt czterech senatorów (dwóch demokratów i dwóch republikanów) z ubiegłego roku. Przedłożony prezydentowi Rooseveltowi i ministrowi Edenowi podczas jego pobytu w USA, nie wywołał zachwytu. Roosevelt przyjął go do wiadomości i kazał złożyć do aktów. Jest nie mniej ogólnikowy i zawiera zaledwie 4 punkty, które mają regulować całe powojenne zagadnienie świata.

Punkty przewidują uwolnienie krajów Narodów Zjednoczonych od okupacji i pomoc w ich odbudowie, czasową administrację uwolnionych spod okupacji nieprzyjacielskiej terytoriów, stworzenie ciała o charakterze międzynarodowym, rodzaj trybunału dla pokojowego załatwiania sporów między państwami, wreszcie stworzenie i utrzymanie stałej siły zbrojnej Zjednoczonych Narodów celem natychmiastowego zduszenia wszelkiej agresji ze strony któregośkolwiek państwa.

Projekt Cordell Hulla

Najświeższy i bodaj najrealniejszy jest projekt Cordell Hulla, wyjawiony tuż przed inwazją Sojuszników na Normandię. Projekt przewiduje:

- a) Radę Światową wielkich mocarstw,
- b) Zgromadzenie Ogólne,
- c) Trybunał Międzynarodowy.

Rada Światowa wielkich mocarstw miała by obejmować Wielką Brytanię, Stany Zjednoczone A.P., Rosję i Chiny. Ta nowa organizacja nie ma dysponować żadnymi siłami zbrojnymi, ma natomiast posiadać wspólny sztab wielkich mocarstw.

Inicjatywa owej organizacji wyszła po- noć od Mołotowa podczas Konferencji Moskiewskiej, a senacka komisja powojennej organizacji, wyłoniona przez Kongres USA, upoważnia Cordell Hulla do stworzenia odpowiedniej organizacji jeszcze przed zakończeniem działań wojennych, a w każdym razie przed końcem wojny na Pacyfiku. W konsekwencji Cordell Hull opracował projekt i rozpoczął już w dniu 30 maja b. r. konferencje z poszczególnymi ambasadorami trzech innych partnerów w Waszyngtonie, gdzie również ma się odbyć ogólna konferencja celem ostatecznego ustalenia projektu. Ideą Roosevelta i Cordell Hulla jest uzyskanie w tym nowym celu tak ścisłej współpracy i zupełnej jedno- myślności wszystkich partnerów, by przeszkodzić w zarodku wszelkiej wojnie.

Wyjawiony w ogólnych zarysach projekt Cordell Hulla spotkał się od razu ze sprzeciwem rządu holenderskiego, występującego w imieniu „małych” narodów. Rząd holenderski w Londynie poddaje krytyce zarówno plan Churchilla, jak i Cordell Hulla, oddający kontrolę polityki międzynarodowej wyłącznie w ręce czterech wielkich mocarstw i oddający niejako w kuratelę tym czterem asom wszystkie inne państwa. Taki plan nie znajduje poparcia. Małe narody poniosły w tej wojnie równie ciężkie, jeśli nie cięższe ofiary i domagają się współudziału w nowej organizacji. Obok wielkich mocarstw w Radzie Światowej winny zasiadać również mniejsze państwa, zmieniające się systemem rotacyjnym.

Na skutek tego protestu Cordell Hull ogłosił projekt ostateczny nowej organizacji, który przedstawia się następująco:

- 1) Na czele organizacji stoi Rada Światowa, złożona z przedstawicieli Wielkiej Brytanii, USA, Rosji i Chin i 3-4 mniejszych krajów, zmieniających się systemem rotacyjnym. Przedstawicielstwo wielkich mocarstw jest stałe;
- 2) Ogólne Zgromadzenie Zjednoczonych Narodów, obejmujące w tej chwili 35 krajów,

W numerze:

R. Fajans: U dowódcy frontu włoskiego.
— F. Lachman: Reminiscencje włoskie.
— G. Rey: U źródła klęski Francji — Kolumna angielska: J. Barnes: Anglia spogląda w przeszłość. George Bidley: Brytyjska „Labour Party”. — T. Parnicki: Wschód i Zachód w Kordobie. — J. Wittlin: Strach Mater. Żydów (Polskim (1942). — A. J. J. Kolysanka dla Elżbety. — A. Schorr: Egga v. Haardt. — Fakty i komentarze. Ancona. Konferencja monetarna w Bretton Woods. Międzynarodowy Bank Inwestycyjny. — bl.: Adolf Bocheński — K. Wierzyński: Śmierć nocna. Wilga. Podjudzanie księżycy. Inter arma. Przywidzenie. Ktokolwiek jesteś bez ojczyzny. — H. Zylberlast: Zbrodnie wojenne. — S. H. Dominik: Opinie angielskie. — J. Martyna: Kronika filmowa. — Z Broncel: Z teatru. — ww: Przegląd polityczny.

ale otwarte dla innych państw. W Zgromadzeniu obowiązuje równouprawnienie wszystkich członków;

3) Siły policyjne obejmować będą przede wszystkim siły zbrojne wielkich mocarstw i używane będą zgodnie z uchwałami Zgromadzenia;

4) Trybunał Światowy sędzić będzie spory między członkami Zgromadzenia, korzystając dla poszanowania swych wyroków z siły zbrojnej;

5) Do załatwiania drobnych sporów poza Trybunałem istnieć będzie osobny mechanizm.

Drugie wydanie Ligi Narodów

Projekt takiej organizacji powojennej świata stanowi do pewnego stopnia drugie wydanie Ligi Narodów, przynajmniej w budowie właściwych ciał: rady i zgromadzenia ogólnego. Wszak Rada Ligi Narodów składała się również z członków stałych wielkich mocarstw, z członków półstałych: większych państw (Polska, Hiszpania) i z członków nie-stałych-małych państw, zmieniających się systemem rotacyjnym. W Zgromadzeniu ogólnym obowiązywało równouprawnienie i jedno-myślność. Ale tylko w teorii. W rzeczywistości było to zgromadzenie wielkich protektorów i ich klientów. Trybunał Międzynarodowy istniał w Hadze, jako organ detaszowany.

Pakt Ligi Narodów nie zabezpieczał dostatecznie pokoju światowego. Raz wraz wybuchły w różnych punktach globu ziemskie zbrojne starcia i wojny i zabezpieczano się dodatkowymi paktami. Ale i te pakt, jak pakt Briand-Kellog i pakt Litwinowa, nie wytrzymały w krytycznym momencie próby ognia działowego. To też Roosevelt, jak naiwnie sądził po poprzedniej wojnie, że była ostatnią, tak dziś nie wierzy, aby ta była ostatnią. Jakież przeto cel tej nowej międzynarodowej organizacji? Może usuwanie ognisk wojny, może działanie hamujące, może łagodzenie okropności wojny, może wreszcie lokalizowanie zbrojnych starć.

Amerykańska niewiadoma

Nowa organizacja pokojowa świata powstaje przez interwencję Roosevelta i Cordell Hulla, jak Liga Narodów powstała z idei Wilsona. Ale Stany Zjednoczone A.P. stoją w przededniu wyborów. W styczniu kończy się kadencja prezydenta Roosevelta, Kongresu i wszystkich wysokich urzędników wybieralnych, gubernatorów i wicegubernatorów stanowych i t. d. Wszystko wskazuje na to, że demokraci tracą wśród wyborców nawet tę nieznaczną większość, jaką dotąd posiadają. Owa przynajmniej większość demokratyczna sprzed lat 12 jest już tylko wspomnieniem. Demokraci rzucą w wyborach na szalę powagę nazwiska Roosevelta, jako najważniejszą swą szansę wygranej. Jego przeciwnik, Dewey, gubernator Stanu Nowojorskiego, to potężna indywidualność, osobistość nowa, nie wytarta jeszcze w walce partyjnej. Na wypadek przegranej, demokraci dziś już sugerują ewentualność powierzenia przedstawicielstwa interesów USA na konferencji pokojowej ze wszystkimi przybudówkami Rooseveltovi. Tymczasem kandydat republikański Dewey już na pierwszym wielkim zgromadzeniu przedwyborczym w Pensylwanii skrytykował ostro politykę zagraniczną Roosevelta. Oznaczałoby to, że w razie swego zwycięstwa w listopadowych wyborach republikanie zechcą prowadzić własną politykę zagraniczną. A wówczas może się powtórzyć to, co już raz miało miejsce w Kongresie USA: republikańska większość opinii publicznej może się opowiedzieć przeciw wszelkiemu udziałowi Stanów Zjednoczonych w sprawach europejskich i zażądać powrotu do izolacjonizmu nazajutrz po wygranej wojnie.

USA stanowią zatem niewiadomą: wygrana demokratów oznaczać będzie kontynuację dotychczasowej polityki rządu Roosevelta; ich przegrana postawi tę politykę pod znakiem zapytania. Albo prowadzona będzie po linii dotychczasowej, albo zostanie skierowana na nowe, niewiadome tory. A wówczas nowa powojenna organizacja świata będzie musiała się obejść bez czynnika tak ideowego i bezinteresownego, jaki w polityce międzynarodowej stanowią Stany Zjednoczone A.P. Świat pójdzie własnymi drogami aż do następnej wojny.

ROMAN FAJANS

U dowódcy frontu włoskiego

WIZYTA U GEN. ALEXANDRA

Włochy, w lipcu

Gdy przejeżdża się jedną z głównych szos Włoch środkowych, uwagę podróżnego zwracają na jednym z odcinków tej szosy rozmieszczone w pewnych odstępach tablice orientacyjne, zawierające wciąż tę samą tajemniczą cyfrę. Najprzód czytamy, że do miejsca, oznaczonego ową cyfrą Y, jest pięć mil, później — cztery, trzy, dwie, aż wreszcie mijamy napis: „Uwaga na następnej mili. Wjazd do Y”.



GEN. ALEXANDER

Parokrotnie przejeżdżałem tą szosą i za każdym razem intrygowała mnie owa tajemnicza cyfra. Cóż ona może oznaczać? Obecnie zagadka została rozwiązana. Ów szfrowy znak oznacza kwatery główną dowódcy frontu włoskiego, gen. Alexandra. Dowiedziałem się o tym z okazji wizyty, jaką złożyłem właśnie gen. Alexandrowi, i rozmowy, którą z nim odbyłem.

Kwaterna główna gen. Alexandra znajduje się w słicznej okolicy, jednej z najbardziej malowniczych, jakie widziałem dotychczas we Włoszech. Na rozległej przestrzeni, ogrodzonej i czujnie strzeżonej, wzniesiono tam istne miasto namiotów. Obóz jest tak rozległy, że odnaleźć dany oddział kwatery głównej lub dany namiot nie jest bynajmniej rzeczą łatwą. Namioty są przeważnie amerykańskie, niezwykle wygodne i komfortowo urządzone. Wszędzie jest światło elektryczne (obóz posiada własne dynama) i telefon. Oprócz namiotów w skład kwatery wchodzi liczne wozy: dowodzenia, łączności i kontrolne. Wspomnieć też należy o licznych kasynach oficerskich (Anglicy i Amerykanie jadają oddzielnie), kuchniach żołnierskich, łaźniach, kinie polowym, parkach samochodowych i t. p.

Wewnątrz obozu dość znaczny obszar jest ogrodzony jeszcze jednym drutem i strzeżony przez liczne posterunki. Napis na tablicy, już pośrodku tego ogrodzonego obszaru, głosi: „C. in C. Camp” (Obóz naczelnego dowódcy). Przy wiodących do tego obszaru wrotach czytamy inny jeszcze napis: „No entry except C. in C., CCS, CC, DCC, SAOS”. Znaczy to, że wstęp jest wzbroniony dla wszystkich, prócz naczelnego dowódcy, szefa sztabu i paru kategorii wyższych oficerów sztabowych. Za drutem, na lekkim wzniesieniu, widać duży namiot generalskiej „messy” oraz drugi, mniejszy, w którym dowódca frontu przyjmuje swych gości. Nieco dalej, jeszcze wyżej, stoi wóz mieszkalny gen. Alexandra. Tu znajduje się centralny punkt, z którego rozchoďzą się na całe Włochy dyspozycje operacyjne i skąd kierowana jest kampania włoska.

Gdy przybyłem do obozu z szefem brytyjskiego P.R., płk. A., i przedstawiony zostałem amerykańskiemu szefowi P. R. głównej kwatery gen. Alexandra, ppłk. B., uwagę moją zwróciła od razu wielka, szara limuzyna, stojąca przy samym wejściu do ścisłego obozu dowódcy frontu. Na samochodzie powiewał niebiesko-biało-czerwony proporczyk z Krzyżem Lotaryńskim i ustawiona była przy nim francuska warta. Obok wozu zgromadzeni byli oficerowie i francuscy korespondenci wojenni. Właśnie przed chwilą, gen. de Gaulle, bawiący na inspekcji we Włoszech, przyjechał był tutaj, by złożyć wizytę dowódcy frontu. Obaj generałowie wzywali się w namiocie gościnnym, wypadło mi przeto poczekać trochę na moją audiencję.

Po upływie kilkunastu minut, na wzgórkach, za drutem, ukazała się grupa ludzi. Na czele szedł gen. Alexander i obok niego gen. de Gaulle. Za nimi — generałowie francuscy Juin i Béthouart, generał brytyjski Harding oraz paru innych wyższych oficerów. Zbliżyli się oni niebawem do nas i wówczas mogłem przyjrzeć się im dokładnie. Generał Alexander, szczupły, nie wielkiego wzrostu, o smukłej, wysportowanej sylwetce, jasnowłosy i niebieskooki, ubrany był w kurtkę koloru jasnoniebieskiego, z licznymi wstążeczkami orderowymi na piersi. Co uderza przede wszystkim w generale de Gaulle, to jego wzrost. Jest bardzo wysoki i nieco pochylony. Twarz ma chuda, włosy dość jasne. Na ogół wygląda nie zupełnie tak, jakby wydawać się mogło z fotografii. Ubrany był w mundur koloru khaki.

Przy samochodzie nastąpiło pożegnanie dowódcy frontu włoskiego z prezydentem tymczasowego rządu Francji. Obaj generałowie

uściskali sobie ręce, poczem gen. de Gaulle wsiadł do wozu i odjechał. W chwilę potem gen. Alexander podszedł do mnie z wyciągniętą ręką i rzekł zupełnie czystą polszczyzną: „Dzień dobry panu”. Udał się do gościnnego namiotu dowódcy frontu, który przypomniał elegancko urządzone bar hotelowy. Tu podano wkrótce herbatę. Zasiadliśmy do niej we trzech: gen. Alexander, jego adiutant, młody kapitan amerykański, i ja. Rozpoczęła się rozmowa, która trwała około godziny.

Przed wszystkim generał oświadczył mi, że zna Polskę.

— Byłem tam, — rzekł mi, — w r. 1919, wraz z Komisją Międzysojuszniczą i gen. Carton de Wiart. Byłem wówczas podpułkownikiem gwardii. Spędziłem w Polsce trzy miesiące: w Warszawie, Lwowie, Wilnie i Brześciu n/B. Byłem pod głębokim wrażeniem gorącego patriotyzmu Polaków, którzy dopiero co odzyskali wówczas swą niepodległość. Warszawa jest bardzo pięknym miastem... Ale... przypominam sobie, że zwiedzałem tam piękną galerię obrazów...

— Zapewne Zacheć?... —

— Tak, tak... Pamiętam też piękny park przy jednej z alei...

— Łazienki...

— Poznałem w Warszawie sporo osób, m. in. waszego wielkiego Paderewskiego. A także i Zamoyskich.

Pytam generała, czy nie znał marsz. Piłsudskiego.

— Nie — odparł — niestety, nie było sposobności po temu. Mieszkając w Warszawie w hotelu Bristol. Ciekaw jestem, czy w ciągu tego czasu stolica wasza zmieniła się bardzo.

Opowiadał generałowi, jak bardzo Warszawa rozwinęła się w ostatnich latach przedwojennych.

— Obecnie, — dodaje, — znaczna jej część leży w gruzach.

— Szkoda, — odpowiada, — wielka szkoda, gdyż było to wyjątkowo miłe miasto... Ale odbudujecie je.

Dalszy ciąg rozmowy toczył się na temat wojsk polskich we Włoszech:

— Żołnierze polscy — oświadczył mi gen. Alexander — są znakomici i mają pierwszorzędnego dowódcę w osobie gen. Andersa. Jestem dumny, że mam ich tutaj, we Włoszech, pod moim dowództwem. Mają oni tylko jedną wadę: jest ich zbyt mało. Pragnąłbym mieć tutaj więcej takich żołnierzy polskich, jak ci, którzy walczą obecnie. Dajcie mi ich większą ilość. Wartość żołnierza polskiego jest ogólnie znana. Polska była zawsze krajem dobrych żołnierzy i dlatego spokojny jestem o jej przyszłość. Order Łaźni, którym odznaczony został gen. Anders, stanowi, jak zresztą on sam słusznie to zaznaczył, wyraz dobrej zastrzeżonej hołdu dla całego II Korpusu polskiego. I obecnie również Polacy zajmują bardzo ważny odcinek frontu...

Generał pyta mnie, czy widziałem Cassino, klasztor i miasto. — Było bardzo trudno zdobyć tę pozycję — powiada.

Mowa była następnie o przyszłości Polski i o Niemczech. Przypomniałem generałowi dzieje odwiecznego imperializmu niemieckiego. Czyż wielcy mistrzowie Zakonu Krzyżackiego, Fryderyk Wielki, Bismarck, Wilhelm II bardzo różnili się od Hitlera? Byli oni przecież właściwie tym samym, tylko w odniesieniu do swej epoki i okoliczności... Te ostatnie zmieniły się wprawdzie, lecz treść pozostała ta sama. Wspomnieliśmy o tezach Vansittarta i o najnowszym książce Emila Ludwiga, „Jak traktować Niemców”?

— Tak, — oświadczył gen. Alexander, — trzeba raz na zawsze zniszczyć imperializm niemiecki. I zrobimy to tym razem.

Następnie dowódca frontu włoskiego objaśnił mi obecną sytuację wojenną we Włoszech:

— Odnieśliśmy wielki sukces — rzekł. — Gra nie była bynajmniej łatwa. Niemcy są wciąż jeszcze bardzo dobrymi żołnierzami. Biją się zaciekle, mają dobrych dowódców i szybko przychodzą do siebie po klęsce. Jest to jeszcze zawsze niebezpieczny przeciwnik. A jednak, pomimo to wszystko, wygraliśmy partię i poszliśmy naprzód o przeszło dwieście kilometrów w ciągu sześciu tygodni. Wzięliśmy Rzym i stoimy nie daleko Florencji. Zawdzięczamy ten sukces w pierwszym rzędzie wartości bojowej wszystkich wojsk, jakie mam pod moim dowództwem: amerykańskich, brytyjskich, francuskich i polskich. Wszystkie one były się wspaniałe.

Generał pyta mnie o moje wrażenia z Włoch i o dalsze plany reporterskie. Widać, że interesuje go żywo technika pracy dziennikarskiej na froncie. Szuca uważnie wyjaśnień i dorzuca kilka uwag. Potem podnosi się i żegna mnie po polsku. „Dowiedzenia panu. Sześciuśmierci drogi”.

Ciemniało już, gdy poszedłem na przechadzkę po obozie. Nad nieruchomą, gładką taflą wody unosiła się lekka, wieczorna mgła. W namiotach szykowano się do snu. Tu i ówdzie słychać było dźwięki muzyki z aparatu radiowego lub gramofonu. W nadbrzeżnych trawach ćwierkały świerszcze. Nagle ujrzałem błękitną kurtkę gen. Alexandra. Zamyślony, chodził między drzewami. Może obmyślał plany dalszych zwycięstw...

FELIKS LACHMAN

REMINISCENCJE WŁOSKIE

GAWĘDA KULTURALNA

*Sulmo mihi patria est...
(Ovidius, Tristia)*

Historia mówi do nas — ludzi jednej kultury — z suchych nazw miejscowości w komunikatach wojennych.

SYCYLIA—SYRAKUZY. „Dionysius, Syracusis expulsus, pueros Corynthis docebat”. Nie pierwszy to raz Italicycy (wiemy, wiemy: tamci byli Grekami) wypędzają tyrana. Dionizjusz — to ten sam władca, o którym mówi ballada Schillera („Die Bürgschaft”). Były Duce Włoch był również trzecim w związku jak tamten. Ale to tylko formalne podobieństwo.

Rzymianie oblegali Syrakuzę w III w. przed Chrystusem. Duszą obrony miasta był Archimedes — fizyk, inżynier, matematyk, obywatel i żołnierz. Podczas oblężenia wynalazł kilka maszyn przeciwbieżniczych i ulepszył ówczesną artylerię — katapulty i bafisty. Legenda mówi, że w chwili, gdy Rzymianie wdarli się do miasta, Archimedes był zajęty rozwijaniem konstrukcji nowej maszyny bojowej. „Noli tangere circulos meos” — rzekł do legionisty, który uderzył go w ramię, zanim poraził śmiertelnie.

Wydaje się, że od czasu zabicia Archimedesza przez żołnierza rzymskiego nastąpił wiekowy rozdźwięk między ludźmi nauki a wojakami, wzajemna niechęć i niezrozumienie. Nawet Napoleon, biorąc ze sobą do Egiptu wielu uczonych francuskich, miał przede wszystkim na myśli doraźne korzyści i propagandę. Kokietował uczonych: na rozkazie przedinwazyjnym podpisał się — Napoleon Bonaparte, członek Instytutu, generał, głównodowodzący Armią Wschodu. Tenże Napoleon zwykł mawiać: „Chemia jest kucharką medycyny, a obie są naukami rzeźników” (miał na myśli niewątpliwie farmaceutów i chirurgów). Dziś chemia materiałów wybuchowych i gazów bojowych dostarcza podczas wojny pracy medycynie, ale stosunek bieg rzeki w inne koryto, a po pogrzebaniu w dniu rzeki zwłok heroga, niewolników i kosztowności, zwrócono wody w dawną koleinę.

Snują się po polach Sycylii o zmroku duchy Greków, Kartagińczyków, Rzymian, barbarzyńców germańskich, Saracenów, Normanów, Hiszpanów... Jeden — pierwszy z wielkich — barbarzyńca, Alaryk, nie doszedł do Sycylii. Pochowano go — według legendy — w rzece BUSENTIO niedaleko miasta COSENZA w Kalabrii. Aby nikt nie mógł sprowadzić grobu, odwrócono bieg rzeki w inne koryto, a po pogrzebaniu w dniu rzeki zwłok heroga, niewolników i kosztowności, zwrócono wody w dawną koleinę.

Croto, Sybaris, Tarentum. Zginęły miasta sybarytów, oprócz Tarentu (dzisiaj TARANTO). Jedną z najstarszych powieści świata europejskiego, „menapea” sienkiewiczowskiego Petroniusza, „Uczta Trimalchiona” — umieszcza w Tarenecie wielce frywolne opowiadanie o odwiedzinach dwóch przedstawicieli złotej młodzieży rzymskiej u starego poety grecko-rzymskiego, który w nader swoisty sposób rozumiał sprawowanie opieki nad dwójgim młodych sierot. W tejsze powieści znajdujemy po raz pierwszy jedną z najstarszych chyba anegdotów świata, „opowieść o damie z Efezu”, która co parę wieków wypływa w literaturach europejskich, a bardzo zabawnie jest opowiedziana w „Żywotach pań swawolnych”.

W zatoce tarenckiej wykonał desant przed 23 wiekami król Pyrrus, gdy szedł z pierwszymi czołgami świata — słoniami bojowymi — i z falangą macedońską na podbój Italii. Desant ten, pomimo szeregu zwycięstw, skończył się Dunkierką.

Najlepsze wina włoskie pochodzą z

winnic na zboczach Wezuwiusza. W przeciwieństwie do słodkiego i gęstego wina greckiego, które trzeba było rozcieńczać wodą — wino włoskie było szlachetnym napojem, pijanym tel quel przez Rzymian wszystkich czasów. Pili wino i jedli jabłka na wety, a rozpoczynali, jak każde przysłowio, od jaj. Czy jadali sałatę — nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że szereg warzyw — cebulę, szczypior, pietruszkę, por, seler — to co ogólnie włoszczyzną się nazywa, przywozila do Polski włoska księżniczka BARI, znana jako królowa Bona.

Bona była podobno piękna — może tak piękna jak Poppea, żona Nerona, która tak lubiła spędzać porę letnią w Antium (ANZIO). Antium, przepraszam: Anzio, gdzie desant aliancki sprawił krwawą łaźnię nowoczesnym barbarzyńcom germańskim, było na początku naszej ery najmodniejszym kąpieliskiem morskim Rzymu. Szkoda, że nie dochowały się do naszych czasów modele kostiumów kąpielowych elegantek rzymskich, tych co to umiały używać wełny upachnionej.

Tuż przed zdobyciem Rzymu przez Sprzymierzonych zajęte zostało jezioro NEMI. Był dawno temu gaj święty nad tym jeziorem, a w gaju królowała potężny męczyzna, który zabił w otwartym boju poprzedniego króla. Piękne Rzymianki przybywały często z ofiarami do potężnego króla.

Z prawnuczkami pięknych Rzymianek prowadził wytworne rozmowy sto lat temu były oficer Wielkiego Cesarza, Henri Beyle, który przez długie lata był konsulem francuskim w CIVITA VECCHIA. Schorowany, zamienił szpadę na pióro, a jedną ze swych powieści nazwał „Czerwone i czarne”.

Beyle-Stendhal spędził ostatnie lata swego życia na obczyźnie i na obczyźnie zmarł, tak jak ów poeta, który urodził się 2000 lat temu w Sulmo (dziś SULMONA). Jak Stendhal, kochał poetę piękno życia w pięknych kobietach i dziełach sztuki, pisał o sztuce miłowania, aż wreszcie zakończył życie w Dacji, w stepach mołdawskich, dokąd — pono za rozwiężność — zesłał go Oktawian August. Sulmonę zdobyto w czerwcu, Owidiopol — w maju.

Współczesny Owidiuszowi Liwiusz opisuje w XXII (czy nie w XXIII) księdze swej historii klęskę Rzymian nad JEZIOREM TRAZYMENSKIM. Hannibal był wtedy tuż u wrót Wiecznego Miasta, i jedynie brak maszyn oblężniczych uratował Rzym przed zgubą. Był to w historii kultury europejskiej moment podobny do takich chwil decydujących, jak bitwa pod Tours i Poitiers, jak bitwa pod Lignicą, jak odsiecz Wiednia, jak może chwila obecna.

AQUINO i ASSISI (Akwin i Asyż) — to tak, jakby ktoś rzekł: opoka granitowa i kwiatki, małe stokrotki, margarytki-perełki, perły leż nad niedolą ludzką. Systemat i majestat prawa i mądrości i — miłość, stopiona w jedno z miłosierdziem.

Liwiusza i Tacyta historie rzymskie, dzieła Archimedesza, Owidiusza, Homera, „Summa Theologiae” i myśli św. Franciszka — skrzętnie zbierane i pieczołowicie przechowywane, przepisywali z przysłowiową cierpliwością mnisi zakonu św. Benedykta na Górze CASSINO. Gdyby nie ich praca, kultura nasza byłaby inna, nie wiadomo jaka, ale napewno biedniejsza.

Wojna toczy się dziś o tę wspaniałą wspólnotę idei, która zrodziła się na Bliskim Wschodzie, męźniata na brzegach morza Śródziemnego, aby objąć całą Europę i Nowy Świat. Dobrze się stało, że na tej samej Górze Klasztornej, gdzie przechowywano troskliwie, z uporem i cierpliwością, promień hellenisko-rzymsko-chrześcijański — wyrąbał nową drogę ku tej kulturze żołnierz polski.

NOWOŚĆ!

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze” zacząć wychodzić polskie przekłady głośnej angielskiej serii broszur politycznych

„OXFORD PAMPHLETS ON WORLD AFFAIRS”

Jako dwa pierwsze numery ukażą się

Nr. 1

D. W. BROGAN

Prof. Uniwersytetu w Cambridge

AMERYKAŃSKA POLITYKA ZAGRANICZNA

Nr. 2

IVOR THOMAS

Członek Izby Gmin

KIM JEST MUSSOLINI?

Dalsze zeszyty w druku

Cena każdej broszury 50 milsów

GUSTAW REY

U ŹRÓDEŁ KŁĘSKI FRANCJI

Wielkości, gdzie twoje imię?

Kręcony od tyłu film wydarzeń wojennych znowu rzucił na ekran dziejowy los swobodnej Francji i Europy. Jak przed czterema laty, na południowym brzegu kanału La Manche toczy się wielki bój. Na wąskim odcinku przyczółków sojusznicy skoncentrowano dzisiaj więcej nadziei rychłego wyzwolenia niż na tysiącach kilometrów rozległego frontu. Oświetlenie, po raz pierwszy od Pearl Harbour, Posągu Wolności w porcie nowojorskim wzrusza mocniej od salw armatnich. Oczekujemy bowiem nie tylko zwycięstwa o-reżnego nad Niemcami, ale i wolności dla siebie.

Jest to przede wszystkim bój o Francję. Narazie jednak bez Francuzów. Naczelny wódz wojsk inwazyjnych wezwał ich do opanowania: „Czekajcie, aż dam wam sygnał, abyście powstał i uderzyli”.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że w planach alianckiej kwatery głównej figuruje również hasło Marsylianki — „obywatele, do broni!”.

I jak w dniu ostatecznej klęski (16 czerwca 1940 r.), usłyszeliśmy znowu głosy dwóch Francuzów. Marszałek Pétain ostatecznie roz-wiazał wątpliwości — w dniu inwazji alianckiej, tak jak i niemieckiej, wezwał rodaków do ka-pitulacji przed wrogiem. Spod maski sędziwego „bohatera Verdun” wyrzwał wasal „Nowe-go Ładu”. I jak w dniu próśby o zawieszenie broni, rozległ się również głos Francji Walczącej. W dumnych słowach Charles de Gaulle upomniał się o utraconą wielkość swojego kraju.

Nie obchodzi nas w tym artykule los po-litycznych przetargów, nie wnikiamy też w szczegóły ideologii „algerskiej”, tchnącej ce-zaryzmem. Problem jest poważniejszy — czy naród francuski jest w stanie podołać zada-niom, które stawia przed nim inwazja, czy potrafi powstać, aby rzucić obce jarzmo i od-rodzić własną wolność i wielkość?

Egiptu broniono bez Egipcjan, Włochy zdobywano bez Włochów. Przed Francuzami stoi zagadnienie wyjątkowej wagi: Wielkości, gdzie twoje imię?...

Upiór Sedanu

2 września 1870 r. 100 tysięcy żołnierzy, kilka tysięcy oficerów, kilkudziesięciu genera-łów i jeden cesarz trafili do niewoli pruskiej. Straszna klęska pod Sedanem stała się ko-lebką Trzeciej Republiki, a upiór narodowej katastrofy szedł za historią Francuzów — u-nosił się nad Komuną Paryską, wychował po-kolenia rewantu, mobilizował siły do zwycię-stwa, okupionego drogą w latach 1914-1918, sprzedanego tanio w następnym okresie.

W upartych żądaniach marszałka Focha na konferencji wersalskiej, aby mosty Renu znalazły się w rękach Francji, brzmiało echo tragicznych wydarzeń r. 1870; ale żądania te zostały odrzucone. Dnia 13 maja 1940 r. armia niemiecka sforsowała Mozę i uderzyła na Se-dan, zagrażając armiom na północy i linii Ma-ginota na południu, rozcinając front na dwie części. Kampania była przegrana. Republika, zrodzona w Sedanie — w Sedanie została stra-cona. Upiór narodowej klęski znowu uniósł się nad Francją. Dnia 16 czerwca Pétain ogłosił orędzie o zawieszeniu broni, 25-go — Fran-cja skapitulowała; dnia 11 lipca stary mar-szałek dekretem zniósł demokratyczny ustrój Republiki.

W rozgardiaszu piorunującej klęski, w rozgoryczeniu zawiedzionych przyjaciół, w propagandowym tryumfie koniunkturalnie zjednoczonych wrogów powstał mit upadku Paryża, obraz rozkładu wielkiego narodu. Kształtował on stosunek do Francji w opinii ogólnej, zamrażał ocenę przeszłości i spoj-rzenie w przyszłość. Ulegano wrogiej sugestii, że Francja upadła z winy narodu i reżimu, że demokracja zabiła bojowego ducha, że rządy nie dawały broni, a obywatele — krwi. Była to teza obozu Pétain’a.

Nastał czas odżegnania się od upiора Se-danu. W czwartą rocznicę kampanii francu-skiej jest już dość materiału i perspektywy, aby postawić kwestię odpowiedzialności za klę-skę. Naród — reżim — czy klika, armia czy do-wódcy, zdradca czy nieudolność? Odpowiedź będzie kluczem nie tylko do zagadki klęski, ale i wskaźnikiem, czego można dziś oczeki-wać od samych Francuzów.

Bój ariergardy

W odróżnieniu od emigracji polskiej, któ-ra raczej unikała zasadniczego „rachunku krzywd”, bilansu strat i zysków przeszłości — Francuzi na obczyźnie nie mogli uniknąć pra-nia brudów domowych. Klęska Polski była sublimowana męczeństwem i walką Kraju; potworna klęska Francji, mnożona przez trwającą hanbę Vichy, zmuszała pisarzy, pu-blicystów i polityków francuskich do rozdzie-rania świeżych ran.

Ze stypy Republiki rząd Vichy chciał zro-bić chrzciny nowego państwa z Pétain’em na czele. Prawda o Francji i jej klęsce stała się hasłem rozgrywk wewnątrznej, bojem tylnych straży francuskiej Republiki.

I tak powstała obszerna literatura, że wspomnę tylko: Pertinaxa („Grabarze”), Ke-rillisa („Francuzi, oto prawda”), De Monzie’-go („Ci-devant”), Elie Bois („Nieszczęście Francji”), André Simona („Oskarżam! — O

tych, co zdradzili Francję”), Jules Romains’a („Siedem tajemnic Europy”), Levy’ego („Pra-wda o Francji”); pisali też cudzoziemcy — Gordon Waterfield, korespondent Reutera przy armii francuskiej, Ilia Erenburg, Hans Habe (austriacki Żyd, piszący po niemiecku, ochotnik kampanii francuskiej, który zbiegł z niewoli niemieckiej do Stanów Zjednoczo-nych). Również pod okupacją ukazały się książki o historii ostatnich lat (Paul Allard, Jean Thouvenin i inni).

Zwycięska bitwa w Riom

Dzieła te, o różnej, naturalnie, intencji i wartości, dają ogólne ramy klęski francuskiej. Najbardziej cenny materiał faktyczny dała roprawa sądowa, zaaranżowana w lutym 1942 r. w małym francuskim miasteczku Riom, (której opis można znaleźć w świetnej książce francuskiego pułkownika Pierre Tissier’a „Proces w Riom” oraz w broszurze „Leon Blum przed swoimi sędziami”).

W Riom na ławę oskarżonych posadzano Republikę. W osobach Bluma, Daladier’a, Rey-naud’a, Mandela Niemcy sądzili wolę walki Francji, Pétain zaś — jej demokratyczne u-rządzenia. Niemcy żądali od sądu wyroku, któryby obarczył Paryż odpowiedzialnością za spowodowanie wojny; Pétain w znanej in-strukcji domagał się, aby przebieg procesu wykazał nieudolność demokracji w przygoto-waniu wojny. Stary marszałek twierdził fran-cuskiej Republice, jak kat Don Karlosowi: „Ja ciebie zabiję dla twojego dobra”. Proces w Riom miał być świadectwem zgonu demo-kratycznej Francji. „Francja musi zbudować nowy reżim, albo upaść” (Pétain).

Według planu kilku wojskowej, śledztwo i przewód miały objąć tylko okres od r. 1936, gdy stronnictwa lewicy doszły do władzy, do czasu wojny. Lata do 1936, gdy resortem o-brony narodowej kierowali generałowie Pétain i Maurin, pułkownik Fabry lub ich przyjaciele z prawicy, jak też i sama kampania francuska, miały być wyłączone z procesu. W ten sposób autorytet wojskowych miał być uratowany przy pograżeniu Republiki jako całosci. Mil-czenie oskarżonego Gamelin’a przez cały czas rozprawy ułatwiało to zadanie.

Ale reszta oskarżonych nie chciała mil-czeć. Byli minister lotnictwa Guy LaChambre nawet specjalnie przyjechał z zagranicy, żeby stanąć przed sądem; a Blum wręcz oświad-czył, że ostatecznie pod sądni mogliby uisnąć ciasniej i zrobić miejsce dla prawdziwych wi-nowajców klęski. Świetni mówcy parlamentar-ni, długoletni ministrowie i kierownicy rząd-ów, wtajemniczeni we wszystkie sprawy poli-tyki i wojny, przekonani o odrodzeniu Republiki, jak i o ostatecznej klęsce jej gnebieli — Daladier, Blum, Reynaud doskonale zbija-li zarzuty oskarżycieli i świadków Pétain’a, wy-kazując niezbicie, że naród francuski, jego sys-tem i jego armia nie były źródłem tej kata-strofy, do której konsekwentnie je doprowa-dzili ludzie starego marszałka.

Oskarżeni w Riom do procesu siedzieli w więzieniach niemieckich, tam też wrócili. Nie-ugiętość ich postawy i nadzieje, przebijające z ich słów, musiały zaimponować nawet wro-gom; w zestawieniu oskarżonych i oskarżycie-li można znaleźć moralno-polityczną skalę po-równawczą obu reżimów.

Gdy na słowa Daladier’a o udziale czołgów angielskich w bitwie francuskiej rozległ się śmiech generałów Pétain’a — długoletni mi-nister wojny zawałił:

— Nie śmiecie się z Anglików; zobaczcie, kto będzie się śmiał za 18—20 miesięcy; zoba-czymy, czy będą to ci sami ludzie!

A w ostatnim przemówieniu (z 12 marca) Blum na zakończenie powiedział: „Jest gorzką ironią, że naszą wiarę przekształcono w zdra-dę. Ale wiara nasza trwa niewzruszenie — Francja zbierze należny jej pion w przyszło-ści, z którą my wiążemy nasze nadzieje i któ-rą nawet ten proces, urządzony jak gdyby przeciw Republice, pomoże wzmocnić, pomimo wszystko”.

I tak rozprawa w Riom stała się dalszym ciągiem bitwy o Francję. Zwycięstwo oskarżo-nych, uwidocznione przeszło miesięcznym prze-biegiem przewodu oraz „odroczeniem” rozpra-wy, stwierdziła nawet okupacyjna „Pariser Zeitung” (z dn. 3 kwietnia 1943 r.), pisząc, że politycy świetnie się bronili, a „generałowie nie mieli większego powodzenia w sądzie, niż na polu walki”.

Kto usypia? Francję?

Proces w Riom, jak i wspomniana litera-tura polityczna, obaliły cały stos legend o kampanii francuskiej i jej preliminariach, a przede wszystkim przyswodziły oszczerstwa, że lewica francuska była obojętna na obronę kraju.

Dnia 30 stycznia 1933 r. doszedł do wła-dzy Adolf Hitler, który nazwał Francję „od-wiecznym, śmiertelnym wrogiem”. W ten fa-talny dzień Francja była bez rządu — 91-ty gabinet ministrów Trzeciej Republiki akurat otrzymał o dwie doby wcześniej dymisję. Giełda paryska jednak prawie że nie zareago-wała, a organ banków i ciężkiego przemysłu („Temps”) proroczył napisał: „Jest całkiem prawdopodobne, że nowy kanclerz po otrzy-maniu władzy prędko się wykończy i wtedy zniknie jego sława człowieka, dokonyującego cudów”. Nie brano poważnie otwarcie sformu-

łowanego w „Mein Kampf” programu Nie-miec wobec Francji — „izolować i zmiażdżyć”. — Czyżby pan serio sądził — rzekł do zanie-pokojonego pisarza mądry minister — że po-litykę robi się według książki?...

Pod koniec 1933 r. Niemcy opuszczają Ligę Narodów, w r. 1934 następuje zerwanie konferencji rozbrojeniowej, wiosną 1935 r. Hitler oficjalnie zrzuca wojskowe ogranicze-nia Traktatu Wersalskiego. Jest jasne, że za-czyną się wyścig żelaza przed wyścigiem krwi. W tym okresie (1934—1936) na czele obrony narodowej stoją kolejno i na zmianę: marszałek Pétain, gen. Maurin, płk. Fabry; rządy są w ręku prawicy (Doumergue, Flandin, La-val). Ludzie ci nie okazują żadnego zdener-wowania. Zarówno Pétain jak Maurin oświad-czają: „Nie zrezygnujemy z jednorocznej służ-by wojskowej, chyba że nas do tego zmuszą nadzwyczajne warunki. Jesteśmy wystarczają-co silni, aby stawić czoła każdej ewentual-ności”. Roczna rezerwa armii do r. 1936 nie przekracza 270.000 ludzi.

Pacyfiści u władzy

W czerwcu 1936 r. rządy obejmuje Front Lu-dowy, na czele z Blumem i Daladier’em. Służ-ba wojskowa zostaje natychmiast przedłużona do dwóch lat, a ilość rezerw już w r. 1937 wynosi 558 tys. Wzrastają też kadry oficerów rezerwy i służby czynnej, tak że w wojnie o-becnej Francja ich posiada tyleż co w r. 1914. Jeśli chodzi o stan dywizji, gen. Besson obli-cza, że w r. 1918 Francja miała 110 dyw., jej alianci zaś — 216 (Anglicy — 70, Włosi — 80, Amerykanie — 50, Belgowie — 6). W r. 1940 Francja posiadała 115 dywizji, Anglicy — 10, Polacy — 2. Jeśli zaś odliczymy francu-skie dywizje, stacjonujące w Alpach, w Afryce Północnej, w Syrii i t. p., to okaże się, że dla obrony frontu północno-wschodniego Francuzi mieli około 90 dywizji własnych plus 11 a-lianckich. Niemcy zaś uderzyli siłą 130—140 dywizji.

Mówiąc o morale żołnierzy, generałowie na rozprawie dużo narzekali na pacyfizm, na wiarę w Ligę Narodów, nawet na to, że po r. 1918 dzieci francuskie przestały się bawić ołowianymi żołnierzkami. Musieli jednak stwierdzić, że oddziały walczyły odwrotnie, że nawet w odwrocie, wiedząc, że są zdradzone, biły się desperacko (pewien wyjątek stanowi-ła grupa wojsk Mozy). Pewien upadek ducha dało się wprawdzie zauważyć przed walką, w czasie quasi-wojny, kiedy żołnierz albo się kompletnie nudził, albo zajęty był mę-czycami, nieefektywnymi pracami w terenie, zdenerwowany głupimi objawami drylu.

Czytając w książce Hansa Habego („A jeśli tysiąc padnie”) o tym, jak to w Alzacji formowano z odwodów oddziały do przeciw-uderzenia, zaopatrzone nie tylko w konserwy z 1916 r., ale w karabiny z 1891 r., można się utwierdzić w (fałszywej) tezie, że Francuzi wcale broni nie mieli, bo demokraci byli pa-cyfistami, a Blum przez upaństwowienie po-derwał produkcję wojenną. Jak to było na-prawdę?

Gdy Maurin objął w r. 1935 obronę naro-dową po Pétain’ie, zastał 3.000 lekkich czoł-gów — z tamtej wojny, już zupełnie niezdad-nych, oraz tylko trzy(!) czołgi nowoczesne, jako modele; z dział pepanc i pelot istniały tylko prototypy. Samolotów nowoczesnych prawie nie było. Stał ten widocznie nie prze-rażił generała, bo opracowany wspólnie z Pé-tain’em „plan rozbudowy uzbrojenia” (w obli-czu wojny abisyńskiej i militarystyki Nadre-nii) przewidywał raptem 300 czołgów lekkich i po 30 średnich i ciężkich oraz 1400 25-mm dział. Daladier opowiada, że sztab generalny nie wyczerpywał nawet tych preliminowanych sum, które przeznaczone były na uzbrojenie, i Reynault interweniował w ministerstwie wojny, dlaczego nie ma zamówień na czołgi (wiel-ki fabrykant naturalnie nie działał z pobudek patriotycznych; póki był monopolistą zdzierał po 290 tys. za lekki czołg, a gdy również Hotchkiss zaczął je produkować — obniżył do 190 tys., mając jeszcze wciąż ładny zarobek).

Wypadków niewykorzystania sum asyg-nowanych przez — przeklinany — parlament było więcej. W lutym r. 1934 uchwalono po-datkowy kredyt na materiały wojenne w wy-sokości 603 milionów; na wniosek Pétain’a jednak Doumergue dekretem obniżył tę sumę do 470 mil., a wykorzystano — tylko 403 mil. Olbrzymi wzrost wydatków wojskowych na miejsce właśnie za rządów Blum-Daladier, kie-dy minister wojny występuje z projektem u-zbrojenia na sumę 14 miliardów (sztab żądał tylko 9 miliardów), sumę, która wzrosła na-stępnie do 30 i 60 miliardów.

Ale cóż z tego, kiedy pełna wydajność francuskiego przemysłu wojennego mierzyła się roczną wartością jednego miliarda, osiąga-jąc dopiero w r. 1937 wartość trzykrotną, z tym, że w r. 1940 miała ona produkować na 14 miliardów, przed samą wojną zamówiono w Stanach Zjednoczonych 4 tys. obrabiarek i stworzono rezerwę 320 tys. ton żelaza; ilość zakładów zaś między kampanią polską a fran-cuską wzrosła z 7 tys. do 11 tys.

Mocno zaniedbany był przemysł lotniczy. W styczniu r. 1938 — podaje La Chambre — było tylko 500 maszyn bojowych, w tym ani jednego bombowca; w latach 1936—1938 za-zamówionych było 761 maszyn (wykonanych 83!), czyli zamówiono na 24 miesiące tyle, co Niemcy produkowali w jednym miesiącu, a

wykonano tyle, ile Niemcy wykonywali w cią-gu kilku dni. Dopiero w marcu r. 1938 Naj-wyższa Rada Wojenna przyjęła plan nr. 5 bu-dowy (kosztom 16 miliardów) 4739 samolo-tów; część z nich była zamówiona w Stanach Zjednoczonych, Holandii, Szwecji i Niemczech. Wojna jednak wyprzedziła plany.

Nowa Bastylia

Wmawiano nam, że nieszczęściem nie-przygotowania Francji do wojny była również działalność reformatorska Bluma oraz akcja robotników w okresie Frontu Ludowego. W świetle faktów stało się jednak jasnym, że jeśli strajki (które zresztą często były prowo-kowane przez przedsiębiorców) i 40-godzinny tydzień pracy (wprowadzony w nieodpowied-nim czasie i przy zbyt małej ilości robotników kwalifikowanych) rzeczywiście były przeszkod-ą w wysiłku wojennym kraju—to upaństwo-wienie niektórych gałęzi przemysłu dało trzy-krotnie większą produkcję i zapewniło solid-niejsze wykonanie zamówień rządowych. Nie-stety, wyjaśnił w Riom Blum, upaństwowie-nie nie mogło objąć kluczowych dla przemysłu wojennego zakładów Schneider-Creuzota, gdyż komuniści stanowczo sprzeciwili się temu — zakłady przyjęły akurat duże zamówienie ZSRR pod warunkiem właśnie, że unikną u-państwowienia...

Nie sposób jest dzisiaj ustalić w pełni roli francuskiego przemysłu i sfer bankowych w polityce i klęsce Francji. A była ona niepo-słednia. Już w wojnie poprzedniej nawet „Ty-grys” (Clemenceau) nie mógł przełamać „zio-tej ściany” i skarżył się wciąż na machinacje regentów Banku Francuskiego, t. j. komitetu wykonawczego, który z ramienia „200 rodzin” (mających prawo głosu na zebraniach akcyj-nariuszy) rządził Bankiem Francuskim i, tym samym, życiem gospodarczym kraju, dyktując rządowi swoje życzenia. W r. 1936 specjalna komisja śledcza parlamentu stwierdziła, że Bank Francuski znajduje się w rękach oligar-chii, która rządzi krajem ponad głowami wy-branych przedstawicieli narodu, że terroryzuje banki i przedsiębiorstwa, zależne od jego kre-dytów, niszcząc tych, których sobie nie życzy. Regentów jest tylko piętnastu, są oni jednak równocześnie członkami rad nadzorczych 250 wielkich przedsiębiorstw i cały kraj jest w za-sięgu ich macek.

Gorzej jednak, że ludzie ci są „między-narodowcami”. Schneider np. — regent Banku Francuskiego i szef najpotężniejszego trustu broni, był równocześnie kierownikiem Zjedno-czonego Banku Europejskiego, do którego na-leżały zakłady Skoda w Czechosłowacji. Przed samą wojną Schneider sprzedaje akcje Skody firmom niemieckim, a transakcję załatwia pa-ryski bank „Bracia Lazar”, związany z frank-furckim bankiem „Lazar-Schneider-Elisohn”; ten ostatni zaś jest przez „Metallgesellschaft” związany z potężnym chemicznym концерnem Rzeszy „Farben-Industrie”, współpracującym z kolei w Hiszpanii, Chinach i Afryce z fran-cuskim trustem chemicznym Kulmana.

A zaufanym człowiekiem paryskiego ban-ku „Braci Lazar” jest — minister spraw za-granicznych Francji w krytycznym okresie Monachium i początku wojny, George Bonnet.

Przykład drugi — regentem banku i sze-fem zjednoczenia francuskiego ciężkiego prze-mysłu (słynny „Comité des Forges”) jest se-nator Francois de Vendell. Jego potężne złoża rudy i huty stali znajdują się na pograniczu francusko-niemieckim, częściowo w zagłębiu Saary, a jego bliski krewny, Herr von Vendell, jest w Niemczech wielką figurą. W r. 1916 na interpelację, dlaczego armia francuska przy cofaniu się z Lotaryngii nie zburzyła złóż i hut o tak wielkim znaczeniu wojskowym, minister wojny zapewnił, że kilkakrotnie wy-dawał odpowiednie rozkazy, ale że nie były one wykonane. Dopiero po wojnie stało się wiadomym, że istniała tajna umowa między francuskimi a niemieckimi przemysłowcami o wzajemnym szanowaniu zakładów przemysło-wych. Ze strony niemieckiej podpisali ją Thyssen i Rechling, ze strony Francuzów — Schneider i de Vendell.

A zaufanym człowiekiem do Vendell’a jest były jego radca prawny, wielokrotnie pre-mier i minister Francji, Pierre Laval. Również do „Comité des Forges” należał każdy kolejny ambasador Francji w Berlinie (także ostatni, François Poncet).

Nie znamy już dziś szczegółów działalno-sci tych prawdziwych regentów Francji, ale wiemy, że byli oni stale zwolennikami współ-pracy francusko-niemieckiej, popierając „pa-triotyzm wojenny” tylko o tyle, o ile był on potrzebny dla rozbudowy produkcji, dającej im ogromne zyski. W sojuszu z Hitlerem widzieli bezpieczeństwo przed reformami społecznymi, dobijającymi się do drzwi ich Nowej Bastylii. Nawet osobiście niektórzy z nich należeli do faszystowskich formacji (p. Vendell np. miał legitymację Croix de Feu), a zwycięstwo de-mokracji nad Hitlerem straszło ich więcej, niż kapitulacja przed wrogiem, z którym mieli tyle kontaktów starych i nowych. Posel radykalno-socjalistyczny, Seignac, przedstawił pa-rlamentowi dowody, że francuskie firmy dostar-czają (przez Holandię) Niemcom najnowszych czołgów, używanych w armii francuskiej; a jeszcze w marcu 1940 r.(!) specjalne tajne posiedzenie parlamentu zająć się musi skan-dalem, że francuska ruda systematycznie wy-syłana jest (przez Belgię) do Niemiec, w za-mian za niemiecki węgiel.

Zbrodnia i hańba

W chwili napaści również przewaga sprzętu była po stronie wroga. Według cyfr byłego inspektora francuskich wojsk pancernych, gen. Kellera, Niemcy operowały ponad sześciu tysiącami czołgów, którym Francja mogła przeciwstawić tylko połowę tej ilości, roproszoną batalionami (po 3 do 5 czołgów) dla wzmocnienia oddziałów piechoty. Niemcy bowiem mieli 10—12 zwartych dywizji pancernych (po 304 czołgów każda), Francuzi tylko 3 (po 155 każda). Jedną z nich pod Abeville dowodził, odznaczając się, de Gaulle.

W lotnictwie przewaga była jeszcze bardziej druzgocąca. Były minister, La Chambre, podaje, że podczas gdy Niemcy mieli 14,865 maszyn (z tego 6,265 — pierwszej linii), Francja i Anglia tylko po 3500 samolotów (1730 — pierwszej linii). Przy tym obrona przeciwlotnicza oraz przeciwpancerna była bardzo krucha, gdyż doktryna wojenna Francji (o której będzie mowa dalej) nie uwzględniała ataków potężnych formacji motorów, ograniczając ich rolę tylko do współudziału z piechotą.

Szczupłe były francuskie zasoby, ale i te nie zostały w pełni i należycie wykorzystane. Jeden z korespondentów wojennych opisuje np., że francuska dywizja pancerna po pewnym czasie musiała stanąć, gdyż nie dostarczono jej materiałów pędnych. Część zaś sprzętu w ogóle nie weszła do boju.

„Gdzie są mężowie, odpowiedzialni za klęskę? — pyta w Riom Daladier. — Są to nasi wojskowi dowódcy. Ci, którzy mieli do rozporządzenia armię i nie zużyli olbrzymich ilości materiału wojennego”. I oto okazuje się, że po kapitulacji 500 nowych czołgów znaleziono w zakładach jednego tylko Gien (według generałów były one jedynie „odremontowane i świeżo pomalowane”), że w chwili rozejmu Francja miała 4.200 samolotów, z których 2,500 w ogóle nie weszło do akcji; a raport dowódcy lotnictwa, gen. Vuillemin'a, stwierdza nawet, że w dniu zawieszenia broni było więcej smolotów, przydatnych do boju, niż 1 września.

Zbrodnia ta ukoronowana została hańbą — niektórzy generałowie (jak Besson) ogłosili 25 czerwca 1940 r. apel do żołnierzy, że każdy, kto się zgłosi z bronią, dostanie — Krzyż Wojenny, a Pétain dekretem zniósł te paragrafy kodeksu wojennego, które mówiły o karze śmierci dla oficerów, którzy kapitulują, nie wyczerpując środków obrony.

Wódz Francji pokonanej

Na czele armii francuskiej stali dowódcy, którzy przeszli poprzednią wojnę światową; było to legitymacja ich autorytetu, stało się klęską ich kraju.

W r. 1914 pułkownik Pétain liczył 50 lat i był dowódcą brygady piechoty. W kartotece kadr armii na jego blankiecie widniała uwaga: „Nie awansować wyżej jak na generała brygady”. Na stosach trupów frontu Verdun Pétain wydał się wyższym. Krew żołnierzy stworzyła raz jeszcze glorię generała i w r. 1917 gen. Pétain staje się głównodowodzącym francuskiej armii. W owym czasie zwolennik ofensywy za wszelką cenę, Pétain rzuca, bez rozsądnej potrzeby i koniecznej osłony artylerii, masy piechoty francuskiej na armaty i ckm-y kaizera. Bezsensowny upust krwi wywołuje bunt, krwawo uśmierzaną przez wodza.

Sława jego bezwzględności przywołuje go z powrotem do armii w r. 1925, kiedy trzeba zdławić powstanie w Maroku. Współpracuje z nim wówczas hiszpański gen. Franco, a jednym z oficerów sztabu jest późniejszy wódz faszystów francuskich, płk. de la Roque. W r. 1937 Pétain jest ambasadorem w Hiszpanii. Gdy się pojawia na ulicy, zwolennicy Franco witają go okrzykiem: „Precz z Francją, niech żyje Pétain!”. Ze swej placówki w Hiszpanii „bohater Verdun” (między wrześniem 1939 a majem 1940) przesyła kilkakrotnie z własną, popierającą oceną niemieckiej propozycji separatystycznego pokoju z Francją. Jak zapewnia w swej książce de Monzie, Pétain już wówczas nie wierzył w zwycięstwo aliantów, jak zresztą nie wierzył w nie podczas wojny poprzedniej. W swoich „Pamiętnikach” Poincaré opowiada, że Pétain stał reprezentantem czarny pesymizm. Jest ironią losu, że człowiek, który się urodził na wodza Francji pokonanej, był symbolem zwycięstwa.

Wódz Francji Walczącej

W r. 1943 młody (czterdziestokilkuletni) pułkownik brygady czołgów Charles de Gaulle wydał książkę o „Wojnie przyszłości”. W kołach Pétain'a dzieło to zostało skrytykowane, w opinii szerokiej pozostało prawie nieznaną. W Trzeciej Rzeszy pewien człowiek studiował je bardzo pilnie. Był to Guderian, organizator i dowódca niemieckiej broni pancernej. Hasłem de Gaulle'a jest stworzenie zawodowej armii pancernej. Proroce argumenty jego są:

1. Konfiguracja granic Francji otwiera możliwości nieoczekiwanego najsia. Mobilizacja choćby jednego rocznika jest operacją zbyt powolną w dobie czołgów i samolotów;
2. zobowiązania i interesy Francji są tego rodzaju, że pewnego dnia kraj może okazać się w wojnie, która w szerokich masach przyjęta będzie bez entuzjazmu;
3. słaby przyrost naturalny, mniejsza liczba mieszkańców i węższa baza przemysłowa czynią Francję słabszą od Niemiec.

Aby się nie dać zaskoczyć, Francuzi muszą mieć stale gotową zawodową armię techniczną. Wszystkie jej oddziały mają być zmotoryzowane i poruszać się na gąsienicach, niezależnie od sposobu od szos, dróg

i kolei. Zdolność ogniowa musi iść w parze z ruchem i tylko czołgi mogą tego dokonać. Armia ta składałaby się z 6 dywizji (oraz jednej dywizji lekkiej), a każda dywizja miałaby brygadę piechoty zmotoryzowanej i wspaniale wyposażoną, dwa pułki artylerii motorowej, oddziały specjalne oraz: brygadę o szybkości koniowego galopu — o 500 działach średnio i 400 małokalibrowych, 600 ckm, 2 pułki czołgów (ciężkich i lekkich), — w sumie 100.000 żołnierzy oraz grupę lotnictwa.

Służba ma trwać nie więcej niż 6 lat; każdy żołnierz miałby fach techniczny, a wysłużeni — pierwszeństwo w kadrach armii ogólnej.

Hasłem tej armii ma być szybkość; w ciągu kilku godzin musi ona być zdolna osiągnąć Ren (naprzeciwko Rudy); doktryną — ofensywa, przełamująca opór przeciwnika i dezorganizująca jego tyły.

W r. 1935 przewidujący Reynaud bronił w parlamencie projektu de Gaulle'a. Koła wojskowe jednak orzekły, że jest on „niezgodny z logiką i historią”.

Dnia 7 marca 1936 r. wojska niemieckie zajęły Nadrenię. Francja nie zareagowała; gotowych sił było mało, a na mobilizację nie mogła się zdecydować. Postanowiono wzmocnić linię Maginota.

Czy inwazja jest jeszcze możliwa?

Ta bezsilna decyzja, „zgodna z logiką i historią” jej twórców, nie była przypadkowa. Dowództwo francuskie wiązało bezpieczeństwo kraju z fortyfikacją.

„Metody ostatniej wojny — pisał gen. Sikorski w „Wojnie nowoczesnej” — bezkrytycznie przyjęte, bardzo często kształtują myśl wojskową jeszcze w przeddzień wybuchu wojny następnej” (cytuje według wydania angielskiego). Tak było we Francji. Obrona fortów Verdun, która tak bardzo wykrwawiła armię niemiecką, natchnęła starych generałów wiarą w beton.

Oficjalna doktryna francuskiego dowództwa została systematycznie wyłożona w bardzo popularnym utworze profesora Szkoły Wojennej, gen. Chauvineau; książka ukazała się przed samą wojną pod fascynującym tytułem „Czy inwazja jest jeszcze możliwa?” i, zaopatrzona wstępem Pétain'a, stała się miodajnym podręcznikiem. W odróżnieniu jednak od pracy de Gaulle'a, która z każdym dniem stawała się prawdziwsza i bardziej aktualna, dzieło Chauvineau traciło autorytet z biegiem rozwoju wypadków, a w chwili rozpoczęcia procesu w Riom całkowicie zostało wycofane z księgarń i bibliotek.

Dla szkoły Pétain'a — Chauvineau przyszy front przedstawiał się jako ciągła linia umocnień, z której ogromne masy piechoty i uzbrojenia obronnego odbijały frontalnie ataki wroga. W wyobrażeniu ich środki obrony wzrosły o wiele wydatniej niż środki ataku i nawet czołgi lepsze są w przeciwdzierzeniu, niż w ofensywie.

„Żeby złamać przeciwnika, — pisał wojskowy profesor, — atakujący powinien mieć trzykrotną przewagę w piechocie, sześciokrotną w artylerii, dwunastokrotną w amunicji”. Niemcy, stwierdzili oni, nie mają takiej broni do przetrwania umocnień, którym w zeszłej wojnie nie dały rady piechoty z artylerią. Zresztą wznoszenie linii obronnych odbywa się obecnie tak prędko, że zanim wróg przełamie pierwszą, — już przed nim wyrosnie druga.

Wzorem de Gaulle'a, również Chauvineau wypowiadał się za stworzeniem pancernych oddziałów (z 4-letnią służbą), ale nie jako broni ofensywnej, lecz dla łatania ewentualnej wyrwy lub przeciwdzierzenia.

W maju r. 1939 gen Weygand rzekł w Londynie: „W tamtej wojnie żadna ze stron od bitwy nad Marną (1914) nie poczyniła większych postępów — a przecież istniały tylko umocnienia polowe. Czego się spodziewamy w roku 19...? Armie staną za stalowymi i betonowymi fortyfikacjami, które będą bronić przez wojska wysokiej klasy; jak można oczekiwać błyskawicznego rozstrzygnięcia na takim froncie?”

„Za gardło czy na balkon?”

Wiara w linię Maginota i niechęć do ofensywnych działań odbiły się też na rozwiązaniu kwestii włoskiej. Jules Romains opowiada („Siedem tajemnic Europy”, — Nowy Jork, 1940), że 26 sierpnia 1939 r. przybył do Paryża jeden z najbardziej przenikliwych mężów stanu Europy, który kiedyś sam kierował państwem (nazwiska nie przytacza: może to być Benes albo Sforza) i na poufnych zebraniach polityków i intelektualistów francuskich w domu Romains'a wygłosił następujące przemówienie:

„Wojna jest kwestią dni. Jeżeli nie wykażecie wyobraźni i śmiałości, — przegracie ją, zanim się ona zacznie. Mussolini chce zrobić wam diabelski kawał. Będzie on czekał bezczynnie przez dłuższy okres i nawet skłoni was do zapłacenia mu za to. Będzie to najlepsza pomoc, jaką może on dziś okazać Niemcom, gdyż będzie dostarczał im waszych surowców i krył ich południowe skrzydło. Wypowie wam zaś wojnę akurat na dwa tygodnie przed ostatecznym zwycięstwem Hitlera, aby otrzymać swoją część łupu.

Musicie go wziąć za gardło teraz. Właśnie teraz pragnie on za wszelką cenę uniknąć wojny, gdyż dostał wstrząsające raporty o stanie faktycznym swego lotnictwa i artylerii. Postawcie mu ultimatum: z nami albo przeciw nam. Jeżeli będzie się starał wykręcić, zbądź obietnicami — zajmijcie jako zastaw i korytarz dla wojsk Turyn, Mediolan i jeszcze parę

miast. Jeżeli będzie groził wojną — zwróćcie się z orędziem do narodu włoskiego, powiedzcie mu prawdę i uspokójcie co do waszych zamiarów — a w ciągu kilku tygodni Mussolini pójdzie precz. Jeżeli zaś będziecie szukali jego łask — straciecie wszystko”.

Projekt bezdomnego cudzoziemca rozpatrywany był przez francuskich ministrów i dowódców. Według informacji min. Bonnet'a plan został odrzucony pod naciskiem naczelnego wodza, Gamelina, który bał się, że Włochy zważy się na kark i przeszkodzą w mobilizacji, która tak ładnie szła, zabezpieczona toczącą się już w Polsce wojną.

Koncepcją kwatery było „zajęcie miejsca na balkonie”, t. zn. umocnienie alpejskich garnizonów Francji. Gdy walki na wschodzie i północy pochłonięły szczerbę siły, a zdradziecki cios zmusił do powiększenia armii południowej, okazało się, że Francja drogo zapłaciła za spokój, który Gamelin uzyskał w okresie mobilizacji.

Motor obali wasze fortyfikacje

Zahipnotyzowani potęgą obrony, szczęśliwi, że doktryna Chauvineau zwalnia ich od aktywności — po upadku Warszawy wycofuje nawet Gamelin wojska z rejonu Saary, „aby uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi” — dufni, że blokadą zmuszą Niemców do uległości, dowódcy francuscy ignorują nie tylko doświadczenie Hiszpanii, marsz na Austrię i Czechy, problem włoski, ale również i kampanię polską.

Dnia 11 listopada 1939 r. de Gaulle pisze memorandum do Kwatery Głównej, wskazując na konieczność wyciągnięcia wniosków z lekcji polskiej i stworzenia samodzielnych formacji pancernych oraz zwiększenia lotnictwa:

„Motor obalił wasze teorie, motor obalił wasze fortyfikacje; pancerne dywizje muszą być zorganizowane. Materiał nasz jest pierwszorzędny, należy tylko zorganizować doświadczenie i będziemy mieli przewagę”.

Generał George, dowódca frontu północno-wschodniego, zamieścił na memorandum następującą uwagę: „Interesujące, do zbadania”. Oddział trzeci (operacyjny) badał długo obszerny memoriał de Gaulle'a i w grudniu przyszy odpowiedź. Gen. Keller pisał, że w kampanii polskiej działały specyficzne warunki, sprzyjające napastnikowi: zaskoczenie, brak fortyfikacji oraz wielka przewaga siły; stworzyły one warunki dla „blitzkriegu”, nie-możliwego przecież we Francji, nawet gdyby nieprzyjacielowi udało się przełamać lub obejść linię fortyfikacji.

Drugi inspektor sił pancernych, gen. Dufieux, podkreślił, że „polski przykład nie prowadzi daleko. Nikt nie może przypuścić, aby podobne położenie zaistniało między przeciwnikami, rozporządzającymi względnie równą siłą (!). Jak można sobie wyobrazić, aby formacje pancerne mogły, tak jak w Polsce, wedrzeć się do Francji, nie ryzykując całkowitego rozgromu (!)”.

Linia Maginota

Stara maksyma powiada, że „forteca jest zagadką; kto nie potrafi jej rozwiązać, tego pochłania”. Linia Maginota połknęła swoich twórców i proroków. Zaślepieni skutecznością fortyfikacji, wojskowi przywódcy Francji lekceważyli sojusze, uzbrojenie i nawet pomoc angielską.

Jak się więc stało, że nadzieja i duma Francji — linia Maginota — nie wytrzymała próby? Max Ludwig, niemiecki specjalista od fortyfikacji, w „Militär-Wochenblatt” pisał nazajutrz po klęsce:

„Francuskie fortyfikacje graniczne już od samego początku miały ten zasadniczy brak, że ich najslabiejszą część, t. j. właściwą linię Maginota, ograniczała się tylko do od-cinka granicy francuskiej od Szwajcarii do Belgii.

Przedłużeniem tej linii na północ powinna była być strefa belgijskich lądowych umocnień, zbudowanych według tychże zasad, co i linia Maginota, z ośrodkiem w Leodum. Ale wyposażenie tej strefy daleko nie dorównywało linii Maginota, widocznie z powodu braku koniecznych środków.

Na tym polega istotny błąd, popełniony przez Francję”.

Kto jest odpowiedzialny za ten błąd? Dnia 12 stycznia 1927 r. na wniosek wice-przewodniczącego Pétain'a Najwyższa Rada Wojenna wypowiedziała się przeciw przedłużeniu linii Maginota do wybrzeża morskiego.

W r. 1933 Daladier przeznacza kredyty na przedłużenie linii. Pétain odrzuca je, oświadczając: „Będziemy bronili Lille, ale nie przez fortyfikacje we Francji. Lille będzie bronił przez fortyfikacje belgijskie”.

Był to nonsens. W r. 1938, więc jeszcze przed wojną, wspomniany Max Ludwig dowodził w swej książce „Von der Ringfestung zur befestigten Zone”, że podczas, gdy linia Maginota posiada wszystkiego 200 km długości, fortyfikacje belgijskie miały być wybudowane na przestrzeni 300 km. „Każde rozsądne ufortyfikowanie kraju powinno być prawidłowo wyliczone w stosunku do wojennego i finansowego potencjału tego kraju. Przy ludności 8 milionów i armii 350 tys. było to rzecz niemożliwą”.

Zważasz, że w jesieni 1936 r. Belgia zerwała sojusz z Francją, ogłaszając ścisłą neutralność.

„Plan D”

Plan obrony Francji oparty był na projektach Pétain'a i po uzgodnieniu z Anglią (jako „Plan D”) przewidywał, że w chwili napadu Niemców — armie Alzacji i Lotaryngii

zachowają się obronnie, a grupa północna, wykonując ruch naokoło Sedanu, wyjdzie na linię Antwerpia—Namur, z zadaniem utrzymania jej.

Ruch armii alianckich do Belgii wykazał niekonsekwencję strategii dowództwa. Skoro cała doktryna i duch, przepajający armię, polegały na mocy fortyfikacji i przewadze środków obronnych, skoro uzbrojenie było niekompletne, skoro przez całą zimę męczono żołnierzy kopaniem rowów w twardym gruncie Flandrii, stawianiem umocnień polowych na północ od linii Maginota (od Montmedy do morza), poco było szukać (nie)szczęścia w otwartym polu, gdzie Bóg Zwycięstwa zawsze jest po stronie tych, co mają więcej batalionów i sprzętu?

Manewr był nie tylko spóźniony (uderzenie niemieckie zważyło się na aliantów, zanim umocnili się oni na obcym terenie), ale i połowiczny: bez wielkich zapasów broni, amunicji i bez odwodów przeciwdzierzenie nie mogło sprostać nawałce pancernej Niemców. Podczas gdy wróg ścigał wszystkie siły i na „wale Zygfrida” pozostawił jedynie starców, Gamelin skurczył swe i tak szczupłe siły przez pozostawienie na linii Maginota najlepszych oddziałów armii.

Dla Niemców operacja aliancka nie była niespodzianką. W okresie „wojny nerwów” 1940 r. sprowokowali oni bowiem generalną repetycję „planu D”.

Pewnego dnia lądował „przymusowo” w Belgii niemiecki samolot z oficerem generalnego sztabu. Przytłapani przez Belgów, zaczęli oni pośpiesznie palić i niszczyć papiery. Dziwnym trafem ocalały jednak dokumenty, z których wynikało, że niebawem niemieckie dywizje (dokładnie oznaczone w załączonym planie) napadną na Belgię. Bruksela ogłosiła alarm, Gamelin zarządził pogotowie wojenne nr. 3, nr. 2, nr. 1 i armie alianckie ruszyły do Belgii, dokładnie obserwowane przez niemieckie samoloty wywiadowcze i lądowe agencje szpiegowskie. Uderzenie niemieckie, naturalnie, nie nastąpiło w spodziewanym czasie i armie alianckie, po zużyciu ogromnych ilości paliwa, wróciły na stanowiska wyjściowe.

Posiadający pełną przewagę techniczną, wróg nie bombardował postępujących naprzód do Belgii oddziałów gen. George'a, ograniczając się do niszczenia tyłowych linii komunikacyjnych i dróg odwrotu, pętając ruchy aliantów masami uciekinierów. Już ten fakt powinien był zastanowić Gamelina. Nie zwrócił jednak na niego uwagi. Dopiero, gdy nastąpiło przerwanie linii nad Mozą i załamanie się „zawiasu sędzińskiego”, t. j. sklepienia całego frontu, i gdy północna armia znalazła się w potrzasku — naczelne dowództwo zorientowało się w rozmiarach klęski.

Kto ponosi winę za katastrofę sędzią? Dnia 15-go maja poszli do dymisji naczelny wódz oraz 15 generałów, na czele z byłym szefem sztabu Weyganda, dowodzącym obroną frontu Sedanu (9-a armia). Na jego miejsce wyznaczony został gen. Giraud, który szukając rozproszonego sztabu swego poprzednika, natknął się na Niemców i trafił do niewoli.

Ale dymisje i zmiany nie potrafiły zasłonić faktu, że prawdziwymi sprawcami klęski byli twórcy fatalnych planów majowych, oraz przede wszystkim ci sami ludzie, którzy zaślepili rutyną poprzedniej wojny nie dojrzały możliwości nowych broni. W r. 1934 de Gaulle wskazał, że właśnie lasy Ardenii oraz rzeka Moza stanowią groźną „bramę inwazyjną”, gdyż starczy „jednej omyłki lub chwili opie-szałości” — i pancerne-motorowy wróg po pokonaniu przeszkód naturalnych znajdzie się na terenie, pozbawionym wszelkich naturalnych czy sztucznych zapór, a posiadającym świetne warunki rozwinięcia się we wszystkich kierunkach, obchodząc północne skrzydło linii Maginota. Pétain jednak i Weygand odrzucili wszystkie projekty wzmocnienia obrony tych odcinków, uważając je za niemożliwe do sforsowania.

Jest ironią losu, że do ratowania Francji zaproszono właśnie tych, którzy najbardziej zawiniли.

Veni, vidi, — Vichy.

Uwięzienie Weyganda (w późniejszym okresie) stworzyło naokoło niego nową legendę. Kronikarze ostatniego okresu stwierdzają jednak zgodnie, że on również był defetystą, który więcej bał się zwycięstwa Republiki niż jej klęski, uważając, że w wyniku tej wojny mogą dojść do głosu elementy lewicowe. Była to stara tradycja wielkich generałów Francji — marszałek Barain po pierwszej klęsce Sedanu skapitulował (w twierdzy Metz) z olbrzymią armią (180.000), gdyż po upadku cesarstwa nie chciał bronić republiki. Faktem jest, że część najlepszego wojska Weygand trzymał na użytek wewnętrzny, a już 6-go czerwca nakłaniał rząd do kapitulacji. Faktem jest, że gdy Reynaud i de Gaulle postanowili ewakuować półmilionową armię, sprzęt, flotę, lotnictwo i materiały wojenne do Afryki i uzyskali na ten cel w Londynie 500.000 tonażu floty, — Weygand sabotował rozkazy ewakuacji, a Laval, interweniując u prezydenta Lebrun przeciw planom przeniesienia do Algieru, — powołał się na autorytet uszlifowanych zbawców ojczyzny.

Na scenę razem z Lavalem wystąpili również macherzy polityczni najgorszego gatunku: Doriot, Déat i inni. Ludzie ci sprzeniewierali się już w ciągu swej kariery wszelkim ideałom i hasłom, zdradzali partie, ideologie i ojczyznę, pozostając wiernymi tylko swej nienasyconej żądzy bogactwa i nienawiści do tych, którzy go tworzą.

Kiedys Weygand powiedział Pétainowi: (Dokończenia na str. 5)

K O L U M N A A N G I E L S K A

JOSEPH BARNES

Anglia spogląda w przyszłość ¹⁾

Londyn, 28-go maja

W noc, ożywione nadzieje rychłego wyswobodzenia kontynentu europejskiego, Anglicy podobno śnią o combrach baranich w sosie miętowym i smacznych kaskach wołowiny z knedlami.

Nie ma się czemu dziwić w piątym roku wojny.

Siła robocza, transport, dostawy w przededniu inwazji, wszystko zamarzło silniej niż kiedykolwiek dotychczas, lecz pod skorupą lodu woda płynnie wartkim prądem, i jednym z dziwnych paradoksów tej słonecznej, londyńskiej wiosny jest fakt, że mniej się chyba ludzie zastanawiają nad tym, co wojska sprzymierzone przyniosą Europie, niż nad tym, co zwycięstwo przyniesie Anglii.

„Zacznie się powódź rządowych memoriałów” — brzmi tytuł jednego z artykułów wstępnych; wszystkie starają się wykreślić kontury wydarzeń, które przyjdą po tej, najbardziej przeraźliwej w historii Anglii, wojnie.

Nie wymyślił tego po prostu Brendan Bracken, minister informacji, kierujący propagandą tak pewnie, jak to tylko potrafi człowiek, który twierdzi, że za nie nie chciałby się tym zajmować. Co poważniejsze gazety i ogromna powódź broszur, zrodzonych zapewne z braku papieru, omawiają przyszłość Anglii pod każdym niemal kątem widzenia, poczynając od sprawy odbudowy gmachu Izby Gmin, kończąc na sprawie wykorzystania dla budowy elektrowni silnego prądu wody rzeki Severn.

Sir Herbert Williams, bardzo konserwatywny poseł do Izby Gmin z Croydon, powiedział w tym tygodniu głośno to, co wielu ludzi u władzy myśli o planach na po wojnie: „Nie mam najmniejszej wątpliwości, — oświadczył on, — że gdy ludzie przebudzą się ze snu, w którym będą pogrążeni w ciągu pierwszych trzech miesięcy po zakończeniu działań wojennych, trzy czwarte materiałów, o których sobie tak swobodnie gawędzimy, zawędrują do kosza”. Tego rodzaju szerokość zastęguje na posuch i znalazła posuch.

Przeprowadzenie masowych badań, ta nowoczesna i ujawniająca prawdziwy stan rzeczy angielska technika sondowania opinii, pozwoliło na opublikowanie sprawozdania pod tytułem „Droga do domu”. Wskazuje ono na zatrważające uczucie rozczarowania i obawy o przyszłość, jakie ogarnęło szarego człowieka. Przytacza ono dla przykładu następujące słowa właściciela pewnej knajpy: „Był tu jeden człowiek, który wrócił z Dunkierki, duży, tegi chłop. Gadało się z nim, co będzie po wojnie, a on wtedy powiedział: „Nigdy w życiu! Gdy taki jeden z drugim wróci z wojny, wyjdzie znowu na spokojną ulicę, to nawet mu się nie przysni łamać sobie głowy polityką lub podobnymi sprawami. Uśadów się wygodnie w fotelu, nogi wywali na kominek, i niech tam sobie!” A ja myślę, że on miał rację”.

Mało z tych, którzy przeżyli wojnę w Londynie, potrafi przepowiedzieć, czy ta tendencja doprowadzi po wojnie naród do apatii, czy też do żądania radykalnych przemian społecznych. Przewidzieć tego jeszcze nie można, a piękna ciekawość ludu angielskiego, któryby chciał zajrzeć w przyszłość, stanowi wyzwanie dla rządu. Trzeba przyznać, że koalicyj-

¹⁾ Poniższy artykuł jest pierwszym z cyklu artykułów p. Barnes'a o powojennej Anglii, omawiających sprawy zdrowotności publicznej i wychowania, ubezpieczeń społecznych i zatrudnienia, odbudowy i polityki.

U ŹRÓDEŁ KŁĘSKI FRANCJI

(Dokończenie ze str. 4)

„Niech pan oszczędza swe siły, wypadnie panu odegrać we Francji tę rolę, którą Hindenburg odegrał w Niemczech...” Było to jedno z bardzo niewielu przewidywań generała, które sprawdziło się w najbardziej złożonej sytuacji. Dnia 16-go czerwca Pétain przekazał Francję najeźdźcom. Losem starych marszałków — zauważył ktoś — jest oddawanie ojczyzny Hitlerowi: Hindenburg w Niemczech, Pétain we Francji.

Droga powrotna

Kłęska Francji nie była wynikiem tylko błędów dowódców wojskowych. Simon słusznie przypomina twierdzenie Clausewitza, że „żadne wielkie państwo europejskie nie może być zwyciężone bez uprzedniego poderwania jego jedności”. Kryzys systemu sięgał niewątpliwie głęboko, a korupcja i walki wewnętrzne otworzyły na oścież drzwi dla Piątej Kolumny. Naród wstąpił do wojny pod akompaniament słów Marcela Déata, że nie warto „umierać za Gdańsk”, a półwiecznie wyzyskany czas quasi-wojny między wrześniem 1939 a majem 1940 raczej obniżył ogólny poziom moralny. Dlatego w czerwcu 1940 r. nie umierano nawet za Paryż.

Dzisiaj niewola niemiecka scalała szeregi francuskie. Linia podziału między obozem Francji a obozem Vichy jest wyraźnie zaznaczona. Gdy padnie sygnał, przekonamy się, że naród odnalazł Francję, a Francja swą wielkość.

Gustaw Rey

GEORGE BIDLEY

Brytyjska „Labour Party“

stałej ciekawości i powodem zakłopotania przybyszów z zagranicy. Nie mogą oni zrozumieć, jak może powstać wielka partia polityczna bez oparcia o „sztywną” ideologię. Brytyjska Partia Pracy nie ma takiego oparcia. Nie kryje się ona w cieniu postaci Marxa, jak to się dzieje z większością kontynentalnych ruchów socjalistycznych.

Historyk powie, że Brytyjska Partia Pracy zrodziła się w r. 1899 z rezolucji, powziętej przez Kongres Związków Zawodowych na zgromadzeniu w Plymouth. Będzie to śluszne, ale nie będzie zawierać całej prawdy. W rzeczywistości Partia powstawała stopniowo, a uchwała w Plymouth oznacza pewne określone stadium w jej rozwoju. Okropności i okrucieństwa rewolucji przemysłowej zmusiły ludzi do myślenia kategoriami politycznymi. W jakim inny sposób można było miarkować lub żagodzić niesprawiedliwości „tych ponurych, szatańskich fabryk?” Idea akcji politycznej nie docierała być może do świadomości szerokiego ogółu, ale, w okresie politycznych niepokojów, liczni radykalni reformatorzy pobudzali ją do życia i w ciągu w. XIX ludzie pracy zaczęli się regularnie pojawiać w Izbie Gmin.

Występowali oni w luźnych związkach, nie podległych żadnemu kierownictwu (jeżeli nie brać pod uwagę lojalności, okazywanej Partii Liberalnej). Rezolucja w Plymouth była celową i uwięzioną powrotem próbą stworzenia w Izbie Gmin zwartej organizacji, pozostającej pod kierownictwem całkowicie niezależnym od ortodoksyjnych partii. Zaczątki tego przedsięwzięcia były bardzo pomyślne. W powszechnych wyborach r. 1906 Partia przedstawiła 50 kandydatów; z nich przeszło w wyborach 29. Stanowiło to bardzo wysoki odsetek. 29 ludzi, ożywionych zapałem i gotowych do poświęceń, jak to miało miejsce w danym wypadku, mogło spowodować, i w rzeczywistości spowodowało, wielkie reformy w Izbie. Najbardziej bezpośrednia i o największym znaczeniu zmiana miała miejsce w dziedzinie charakteru pracy parlamentarnej i jej wyników prawodawczych. Problemy socjalne, sprawy, które były najcięższe dla ludzi pracy, zaczęto teraz dyskutować w całkowicie nowym zrozumieniu ich znaczenia i nagłości. Zmienił się cały kierunek brytyjskiej polityki w tej dziedzinie. W wyborach Partia zwyciężyła i rosła, jak to wskazują następujące cyfry:

Wybory powszechne	Ilość wybranych posłów	Ilość głosów
1906	29	323,195
1918	57	2.244,945
1922	142	4.236,733
1929	287	8.364,883
1931	52	6.648,023
1935	154	8.326,131

Rozpatrując te cyfry, należy mieć na uwadze, że Partia zawsze musiała walczyć z trudnościami pieniężnymi, prasa była wrogiem względem niej nastawiona i dlatego aktywa, jakimi rozporządzała (jeżeli pominąć bezprzekładne przywiązanie jej członków), daleko ustępowały środkom, jakimi rozporządzali jej przeciwnicy. Członkostwo Partii opiera się na następującym schemacie: 1) członkowie związków zawodowych, rekrutujący się wyłącznie spośród tych członków związków, którzy wyraźnie zgodzili się wnosić specjalną opłatę niezależnie od zwykłych składek członkowskich, 2) spółdzielnie, 3) nienależących do związków obywateli, którzy pragną wstąpić do partii i wnieść odpowiednie wpłaty na rzecz jej funduszy.

Na ostatnim zgromadzeniu Partii. w czerwcu 1942, lista członków przedstawiała się w sposób następujący: związki zawodowe — 2.230,376, spółdzielnie — 28,108, nienależący do związków — 226,621.

Każdy, kto badał cyfry wyborcze, które powyżej przytoczyłem, musiał spostrzec pewne niedociągnięcia brytyjskiego systemu wyborczego. Dwa wydarzenia wymagają krótkich wyjaśnień: a) prawo głosowania w wyborach z r. 1918 było znacznie rozszerzone, b) wybory z r. 1931 prowadzone były w warunkach bardzo nieprzychylnych dla Partii i chyba nigdy jeszcze partii opozycyjnej nie brakło tak niewiele do zwycięstwa.

W chwili, gdy zwycięstwo się już zbliża, związane z sobą problemy polityczne, powojenne „wyrównania” i niezależności stały się przedmiotem ożywionej dyskusji. W Wielkiej Brytanii pracujemy w tej chwili pod hasłem wyborczego zawieszenia broni. Oznacza to, że, by nie łamać i nie nadwyręzać „Jedności Narodowej”, którą reprezentuje rząd Churchilla, trzy wielkie partie polityczne zgodziły się nie konkurować z sobą przy urnach wyborczych. Partia Pracy miała szczególne powody, by poddać się takiemu czasowemu układowi, ponieważ wywierała ona główny nacisk w kierunku bardziej skutecznego i energicznego prowadzenia wojny w przemysłowym momencie, który zakończy się rezygnacją Neville’a Chamberlaina i utworzeniem gabinetu Churchilla.

Wojnę przeżyjemy. I co wtedy? Nikt w Wielkiej Brytanii nie ośmielił się z pewną pretensją do dokładności przewidywać najbliższą

przyszłość angielskiej polityki. Sądzę, że bez obawy popełnienia błędów przewidzieć można dwie rzeczy. Partia Pracy czuje się również nieswojo w warunkach koalicyjnych, jak czuła się w rządzie mniejszości. Mimo więc, że nigdy nie straci ona z oczu obrazu rzeczywistości, ani też szczególnych konieczności i obowiązków, wypływających z wyjątkowej sytuacji, ma ona nadzieję odzyskać swe normalne stanowisko w angielskim życiu politycznym i stać się znowu niezależną siłą. Dd czego będzie ona dążyć i o co będzie walczyć w warunkach pokojowych?

Przed wszystkim z pewnością będzie walczyć o zabezpieczenie pokoju. Będzie domagać się podjęcia wszelkich kroków, niezbędnych do tego, by normalny rozwój cywilizacji światowej nigdy już nie został zahamowany przez rozbójniczego gangstera. Musi powstać organizacja międzynarodowa, rozporządzająca siłą, dostateczną dla dania gwarancji, że ci, którzy będą usiłowali przeszkadzać człowiekowi w jego dążeniu do obyczajnego i przyjemnego życia, zostaną siłą powstrzymani od dokonania próby zamachu. Zbiorowe bezpieczeństwo korzystać będzie z dostatecznego autorytetu, by zbiorowość uczynić bezpieczną. Wtedy świat i państwa będą mogły przystąpić do planowania sposobów korzystania z bogactw świata. Nie mogłyby tego uczynić, gdyby im wciąż zagrażała obawa wojny. W dziedzinie światowego planowania Karta Atlantycka jest dokumentem wielkiej wagi. Sygnatariusze jej bowiem zamierzają nie ograniczać się jedynie do planowania odbudowy i ulepszenia warunków życiowych swych własnych obywateli, lecz mają się starać podnieść poziom kulturalnego i gospodarczego bytu milionów ludzi, należących do mniej szczęśliwych narodów w zacofanych pod względem rozwoju krajach.

W polityce wewnętrznej postawiony będzie postulat zasadniczej reorganizacji. Partia jest głęboko przekonana, że jej własna polityka znalazła całkowite usprawiedliwienie w przymusowej organizacji wysiłku wojennego. W żaden inny sposób nie można było uzyskać tego, by wysiłek narodowy stał się czymś więcej niż zbieraniną zupełnie nieskoordynowanych wysiłków jednostek. Wobec tego Partia nie widzi powodu, dlaczego nie mianoby zastosować tego samego kierowanego wysiłku w dziedzinie odbudowy. Planowa uprawa roli uratowała kraj przed klęską głodową. Dlatego wielu spośród nas ma grozić śmierć głodowa w czasie pokoju, jeśli podczas wojny wszyscy mogli korzystać z planowanego dostatku?

Trzeba nam milionów domów nie tylko dla odbudowy zrujnowanych okręgów, lecz w celu doprowadzenia naszych warunków mieszkaniowych do nowoczesnego, cywilizowanego poziomu przyzwoitości, wygody i sztuki. Musimy zreorganizować naszą gospodarkę przemysłową, korzystając z wszystkich dostępnych nam źródeł wiedzy i wynalazczości, stworzyć rzeczywiście skuteczną działającą arterię życia i handlu. W tych i wszystkich innych kierunkach Partia będzie się domagać, by proces odbudowy nie był zdany na łaskę wyzyskiwaczy, lecz by odpowiadał istotnym potrzebom społeczeństwa.

Jako minimum więc Partia będzie domagać się, by system kontrolowanej gospodarki został zachowany w wielu dziedzinach. W innych sprawach żądania Partii pójdą dalej. Ubiegłego roku znacionalizowaliśmy żłozą węgla. Byłoby niedorzecznością, gdybyśmy mieli nie znacionalizować jednocześnie procesu wydobycia węgla z głębi ziemi. Należy się więc spodziewać, że Partia będzie się domagać upaństwowienia całego przemysłu górniczego, produkcji i rozdziału. Pewne projekty ma Partia i w dziedzinie systemu bankowego. W czasie wojny rząd uznał za właściwe poddanie gospodarki bankowej kontroli ministra skarbu. Niemalże ważne sprawy udzielania kredytów i kierowania inwestycjami nie są już zależne od polityki, uprawiane przez polujących na zysk bankierów. Kieruje nimi państwo w interesie całej społeczności. Tak też powinno być i w przyszłości banki powinny się znaleźć we władaniu i pod kontrolą społeczeństwa.

Na czoło tych wszystkich problemów, lub przynajmniej większości ich, wysuną się jednakowe trudności, związane z demobilizacją przemysłu i przedstawieniem go na tory pokojowe. Wiemy, że przez długie lata żyć będziemy w świecie wielkich niedostatków i że cierpiąca, powojenna Europa kołać będzie do naszych drzwi. Partia będzie się domagać, by nie można już było w przyszłości przeciwstawiać dotkliwy niedostatek jednych zbyt kownemu życiu drugich, a jeśli jakiegokolwiek wyrzeczenia będą nie do uniknięcia, by dotknęły one w równym stopniu robotnika i właściciela kopalni.

Bieg polityki światowej jest przedmiotem żywej dyskusji i rozważań. Znajdujemy się w przededniu najbardziej twórczego okresu w dziejach ludzkości. Świat dojrzał do wielkich przemian. Bez wątpienia Brytyjska Partia Pracy jest świadoma swej odpowiedzialności w skali światowej.

Zbrodnia i hańba

W chwili napaści również przewaga sprzętu była po stronie wroga. Według cyfr byłego inspektora francuskich wojsk pancernych, gen. Kellera, Niemcy operowały ponad sześćdziesiątami czołgów, którym Francja mogła przeciwstawić tylko połowę tej ilości, rozproszona batalionami (po 3 do 5 czołgów) dla wzmocnienia oddziałów piechoty. Niemcy bowiem mieli 10—12 zwartych dywizji pancernych (po 304 czołgów każda), Francuzi tylko 3 (po 155 każda). Jedną z nich pod Abeville dowodził, odznaczając się, de Gaulle.

W lotnictwie przewaga była jeszcze bardziej druzgocąca. Były minister, La Chambre, podaje, że podczas gdy Niemcy mieli 14,865 maszyn (z tego 6.265 — pierwszej linii), Francja i Anglia tylko po 3500 samolotów (1730 pierwszej linii). Przy tym obrona przeciwlotnicza oraz przeciwpancerna była bardzo krucha, gdyż doktryna wojenna Francji (o której będzie mowa dalej) nie uwzględniała ataków potężnych formacji motorów, ograniczając ich rolę tylko do współudziału z piechotą.

Szczupłe były francuskie zasoby, ale i te nie zostały w pełni i należycie wykorzystane. Jeden z korespondentów wojennych opisuje np., że francuska dywizja pancerna po pewnym czasie musiała stanąć, gdyż nie dostarczono jej materiałów pędnych. Część zaś sprzętu w ogóle nie weszła do boju.

„Gdzie są mężowie, odpowiedzialni za klęskę? — pyta w Riom Daladier. — Są to nasi wojskowi dowódcy. Ci, którzy mieli do rozporządzenia armię i nie zużyli olbrzymich ilości materiału wojennego”. I oto okazuje się, że po kapitulacji 500 nowych czołgów znaleziono w zakładach jednego tylko Gien (według generałów były one jedynie „odremontowane i świeżo pomalowane”), że w chwili rozpoczęcia Francja miała 4.200 samolotów, z których 2.500 w ogóle nie weszło do akcji; a raport dowódcy lotnictwa, gen. Vuillemin'a, stwierdza nawet, że w dniu zawieszenia broni było więcej smolotów, przydatnych do boju, niż 1 września.

Zbrodnia ta ukoronowana została hańbą — niektórzy generałowie (jak Besson) ogłosili 25 czerwca 1940 r. apel do żołnierzy, że każdy, kto się zgłosi z bronią, dostanie — Krzyż Wojenny, a Pétain dekretem zniósł te paragrafy kodeksu wojennego, które mówiły o karze śmierci dla oficerów, którzy kapitulują, nie wyczerpując środków obrony.

Wódz Francji pokonanej

Na czele armii francuskiej stali dowódcy, którzy przeszli poprzednią wojnę światową; było to legitymacją ich autorytetu, stało się klęską ich kraju.

W r. 1914 pułkownik Pétain liczył 50 lat i był dowódcą brygady piechoty. W kartotece kadr armii na jego blankiecie widniała uwaga: „Nie awansować wyżej jak na generała brygady”. Na stosach trupów frontu Verdun Pétain wydał się wyższym. Krew żołnierzy stworzyła raz jeszcze glorię generała i w r. 1917 gen. Pétain staje się głównodowodzącym francuskiej armii. W owym czasie zwolennik ofensywy za wszelką cenę, Pétain rzuca, bez rozsądnej potrzeby i koniecznej oszczędności artylerii, masy piechoty francuskiej na armaty i ckm kaizera. Bezsensowny upust krwi wywołuje bunt, krwawo uśmierzaną przez wodza.

Stawa jego bezwzględności przywołuje go z powrotem do armii w r. 1925, kiedy trzeba zdławić powstanie w Maroku. Współpracuje z nim wówczas hiszpański gen. Franco, a jednym z oficerów sztabu jest późniejszy wódz faszystów francuskich, p.k. de la Roque. W r. 1937 Pétain jest ambasadorem w Hiszpanii. Gdy się pojawia na ulicy, zwolennicy Franco witają go okrzykiem: „Precz z Francją, niech żyje Pétain!”. Ze swej placówki w Hiszpanii „bohater Verdun” (między wrześniem 1939 a majem 1940) przesyła kilkakrotnie z własną, popierającą oceną niemieckie propozycje separatystycznego pokoju z Francją. Jak zapewnia w swej książce de Monzie, Pétain już wówczas nie wierzył w zwycięstwo aliantów, jak zresztą nie wierzył w nie podczas wojny poprzedniej. W swoich „Pamiętnikach” Poincaré opowiada, że Pétain stale reprezentował czarny pesymizm. Jest ironią losu, że człowiek, który się urodził na wodza Francji pokonanej, był symbolem zwycięstwa.

Wódz Francji walczącej

W r. 1943 młody (czterdziestokilkuletni) pułkownik brygady czołgów Charles de Gaulle wydał książkę o „Wojnie przyszłości”. W kołach Pétain'a dzieło to zostało skrytykowane, w opinii szerokiej pozostało prawie nieznaną. W Trzeciej Rzeszy pewien człowiek studiował je bardzo pilnie. Był to Guderian, organizator i dowódca niemieckiej broni pancernej. Hasłem de Gaulle'a jest stworzenie zawodowej armii pancernej. Prorocze argumenty jego są:

1. Konfiguracja granic Francji otwiera możliwości nieoczekiwane najszybciej. Mobilizacja choćby jednego rocznika jest operacją zbyt powolną w dobie czołgów i samolotów;
2. zobowiązania i interesy Francji są tego rodzaju, że pewnego dnia kraj może okazać się w wojnie, która w szerokich masach przyjąta będzie bez entuzjizmu;
3. słaby przyrost naturalny, mniejsza liczba mieszkańców i węższa baza przemysłowa czynią Francję słabszą od Niemiec.

Abym się nie dać zaskoczyć, Francuzi muszą mieć stale gotową zawodową armię techniczną. Wszystkie jej oddziały mają być zmotywowane i poruszać się na gąsienicach, u niezależniacząc się w ten sposób od szos, dróg

i kolei. Zdolność ogniowa musi iść w parze z ruchem i tylko czołgi mogą tego dokonać. Armia ta składałaby się z 6 dywizji (oraz jednej dywizji lekkiej), a każda dywizja miałaby brygadę piechoty zmotywowanej i wspaniale wyposażonej, dwa pułki artylerii motorowej, oddziały specjalne oraz: brygadę o szybkości konińskiego galopu — o 500 działach średnio i 400 małych kalibrowych, 600 ckm, 2 pułki czołgów (ciężkich i lekkich), — w sumie 100.000 żołnierza oraz grupę lotnictwa.

Służba ma trwać nie więcej niż 6 lat; każdy żołnierz miałby fach techniczny, a w służeniu — pierwszeństwo w kadrach armii ogólnej.

Hasłem tej armii ma być szybkość; w ciągu kilku godzin musi ona być zdolna osiągnąć Ren (naprzeciwko Ruhry); doktryną — ofensywą, przełamującą opór przeciwnika i dezorganizującą jego tyły.

W r. 1935 przewidujący Reynaud bronił w parlamencie projektu de Gaulle'a. Koła wojskowe jednak orzekły, że jest on „niezgodny z logiką i historią”.

Dnia 7 marca 1936 r. wojska niemieckie zajęły Nadrenię. Francja nie zareagowała; gotowych sił było mało, a na mobilizację nie mogła się zdecydować. Postanowiono wzmocnić linię Maginota.

Czy inwazja jest jeszcze możliwa?

Ta bezsilna decyzja, „zgodna z logiką i historią” jej twórców, nie była przypadkowa. Dowództwo francuskie wiązało bezpieczeństwo kraju z fortyfikacją.

„Metody ostatniej wojny — pisał gen. Sikorski w „Wojnie nowoczesnej” — bezkrytycznie przyjęte, bardzo często kształtują myśl wojskową jeszcze w przeddzień wybuchu wojny następnej” (cytuje według wydania angielskiego). Tak było we Francji. Obrona fortów Verdun, która tak bardzo wykrawała armię niemiecką, natchnęła starych generałów wiarą w beton.

Oficjalna doktryna francuskiego dowództwa została systematycznie wyłożona w bardzo popularnym utworze profesora Szkoły Wojennej, gen. Chauvineau; książka ukazała się przed samą wojną pod fascynującym tytułem „Czy inwazja jest jeszcze możliwa?” i, zaopatrzona wstępem Pétain'a, stała się miodajnym podręcznikiem. W odróżnieniu jednak od pracy de Gaulle'a, która z każdym dniem stawała się prawdziwsza i bardziej aktualna, dzieło Chauvineau traciło autorytet z biegiem rozwoju wypadków, a w chwili rozpoczęcia procesu w Riom całkowicie zostało wycofane z księgarń i bibliotek.

Dla szkoły Pétain'a — Chauvineau przyszy front przedstawiał się jako ciągła linia umocnień, z której ogromne masy piechoty i uzbrojenia obronnego odbijały frontalne ataki wroga. W wyobrażeniu ich środków obrony wzrosły o wiele wydatniej niż środki ataku i nawet czołgi lepsze są w przeciwdroczczeniu, niż w ofensywie.

„Żeby złamać przeciwnika, — pisał wojskowy profesor, — atakujący powinien mieć trzykrotną przewagę w piechocie, sześciokrotną w artylerii, dwunastokrotną w amunicji”. Niemcy, stwierdzili oni, nie mają takiej broni do przerwania umocnień, którym w zeszłej wojnie nie dały rady piechota z artylerią. Zresztą wznoszenie linii obronnych odbywa się obecnie tak prędko, że zanim wróg przełamie pierwszą, — już przed nim wyrośnie druga.

Wzorem de Gaulle'a, również Chauvineau wypowiadał się za stworzeniem pancernych oddziałów (z 4-letnią służbą), ale nie jako broni ofensywnej, lecz dla łatania ewentualnej wyrwy lub przeciwdroczczenia.

W maju r. 1939 gen Weygand rzekł w Londynie: „W tamtej wojnie żadna ze stron od bitwy nad Marną (1914) nie poczyniła większych postępów — a przecież istniały tylko umocnienia polowe. Czego się spodziewamy w roku 19...? Armie staną za stalowymi i betonowymi fortyfikacjami, które będą bronić przez wojska wysokiej klasy; jak można oczekiwać błyskawicznego rozstrzygnięcia na takim froncie?”

„Za gardło czy na balkon?”

Wiara w linię Maginota i niechęć do ofensywnych działań odbiły się też na rozważaniu kwestii włoskiej. Jules Romains opowiada („Siedem tajemnic Europy”, — Nowy Jork, 1940), że 26 sierpnia 1939 r. przybył do Paryża jeden z najbardziej przenikliwych mężów stanu Europy, który kiedyś sam kierował państwem (nazwiska nie przytacza: może to być Benes albo Sforza) i na poufnym zebraniu polityków i intelektualistów francuskich w domu Romains'a wygłosił następujące przemówienie:

„Wojna jest kwestią dni. Jeżeli nie wykażecie wyobraźni i śmiałości, — przegracie ją, zanim się ona zacznie. Mussolini chce zrobić wam diabelski kawał. Będzie on czekał bezczynnie przez dłuższy okres i nawet skłoni was do zapłacenia mu za to. Będzie to najlepsza pomoc, jaką może on dziś okazać Niemcom, gdyż będzie dostarczał im waszych surowców i krył ich południowe skrzydło. Wypowie wam zaś wojnę akurat na dwa tygodnie przed ostatecznym zwycięstwem Hitlera, aby otrzymać swoją część łupu.

Musicie go wziąć za gardło teraz. Właśnie teraz pragnie on za wszelką cenę uniknąć wojny, gdyż dostał wstrząsające raporty o stanie faktycznym swego lotnictwa i artylerii. Postawcie mu ultimatum: z nami albo przeciw nam. Jeżeli będzie się starał wykreślić, zbiedz obietnicami — zajmijcie jako zastaw i korytarz dla wojsk Turyn, Mediolan i jeszcze parę

miast. Jeżeli będzie groził wojną — zwróćcie się z orędziem do narodu włoskiego, powiedzcie mu prawdę i uspokójcie co do waszych zamiarów — a w ciągu kilku tygodni Mussolini pójdzie precz. Jeżeli zaś będziecie szukali jego łask — straciecie wszystko”.

Projekt bezdomnego cudzoziemca rozpatrywany był przez francuskich ministrów i dowódców. Według informacji min. Bonnet'a plan został odrzucony pod naciskiem naczelnego wodza, Gamelina, który bał się, że Włochy zważy się na kark i przeskoczą w mobilizacji, która tak ładnie szła, zabezpieczona toczącą się już w Polsce wojną.

Koncepcja kwatery było „zajęcie miejsca na balkonie”, t. zn. umocnienie alpejskich garnizonów Francji. Gdy walki na wschodzie i północy pochłonięły szczupłe siły, a zdradziecki cios zmusił do powiększenia armii południowej, okazało się, że Francja drogo zapłaciła za spokój, który Gamelin uzyskał w okresie mobilizacji.

Motor obali wasze fortyfikacje

Zahipnotyzowani potęgą obrony, szczęśliwi, że doktryna Chauvineau zwalnia ich od aktywności — po upadku Warszawy wycofuje nawet Gamelin wojska z rejonu Saary, „aby uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi” — dufni, że blokada zmuszą Niemców do uległości, dowódcy francuscy ignorują nie tylko doświadczenie Hiszpanii, marsz na Austrię i Czechy, problem włoski, ale również i kampanię polską.

Dnia 11 listopada 1939 r. de Gaulle pisze memorandum do Kwatery Głównej, wskazując na konieczność wyciągnięcia wniosków z lekcji polskiej i stworzenia samodzielnych formacji pancernych oraz zwiększenia lotnictwa: „Motor obalił wasze teorie, motor obalił wasze fortyfikacje; pancerne dywizje muszą być zorganizowane. Materiał nasz jest pierwszorzędny, należy tylko zorganizować doświadczenie i będziemy mieli przewagę”.

Generał George, dowódca frontu północno-wschodniego, zamieścił na memorandum następującą uwagę: „Interesujące, do zbadania”. Oddział trzeci (operacyjny) badał długo obszerny memoriał de Gaulle'a i w grudniu przyszy odpowiedź. Gen. Keller pisał, że w kampanii polskiej działały specyficzne warunki, sprzyjające napastnikowi: zaskoczenie, brak fortyfikacji oraz wielka przewaga siły; stworzyły one warunki dla „blitzkriegu”, niemożliwego przecież we Francji, nawet gdyby nieprzyjacielowi udało się przełamać lub obejść linię fortyfikacji.

Drugi inspektor sił pancernych, gen. Dufieux, podkreślił, że „polski przykład nie prowadzi daleko. Nikt nie może przypuścić, aby podobne położenie zaistniało między przeciwnikami, rozporządzającymi względą równości sił(!). Jak można sobie wyobrazić, aby formacje pancerne mogły, tak jak w Polsce, wdrzeć się do Francji, nie ryzykując całkowitego rozgromu(!)”.

Linia Maginota

Stara maksyma powiada, że „forteca jest zagadką; kto nie potrafi jej rozwiązać, tego pochłania”. Linia Maginota połączyła swoich twórców i proroków. Zasklepieni skutecznością fortyfikacji, wojskowi przywódcy Francji lekceważyli sojusze, uzbrojenie i nawet pomoc angielską.

Jak się więc stało, że nadzieja i duma Francji — linia Maginota — nie wytrzymała próby? Max Ludwig, niemiecki specjalista od fortyfikacji, w „Militär-Wochenblatt” pisał nazajutrz po klęsce:

„Francuskie fortyfikacje graniczne już od samego początku miały ten zasadniczy brak, że ich najsilniejszą część, t. j. właściwą linię Maginota, ograniczała się tylko do odcięcia granicy francuskiej od Szwajcarii do Belgii.

Przedłużeniem tej linii na północ powinna była być strefa belgijskich lądowych umocnień, zbudowanych według tychże zasad, co i linia Maginota, z ośrodkiem w Leodium. Ale wyposażenie tej strefy daleko nie dorównywało linii Maginota, widocznie z powodu braku koniecznych środków.

Na tym polega istotny błąd, popełniony przez Francję”.

Kto jest odpowiedzialny za ten błąd?

Dnia 12 stycznia 1927 r. na wniosek wiceprzewodniczącego Pétain'a Najwyższa Rada Wojenna wypowiedziała się przeciw przedłużeniu linii Maginota do wybrzeża morskiego.

W r. 1933 Daladier przeznacza kredyty na przedłużenie linii. Pétain odrzuca je, oświadczając: „Będziemy bronili Lille, ale nie przez fortyfikacje we Francji. Lille będzie bronił przez fortyfikacje belgijskie”.

Był to nonsens. W r. 1938, więc jeszcze przed wojną, wspomniany Max Ludwig dowodził w swej książce „Von der Ringfestung zur befestigten Zone”, że podczas, gdy linia Maginota posiadała wszystkiego 200 km długości, fortyfikacje belgijskie miały być wybudowane na przestrzeni 300 km. „Każde rozsądne ufortyfikowanie kraju powinno być prawidłowo wyliczone w stosunku do wojennego i finansowego potencjału tego kraju. Przy ludności 8 milionów i armii 350 tys. było to rzecz niemożliwą”.

Zwłaszcza, że w jesieni 1936 r. Belgia zerwała sojusz z Francją, ogłaszając ścisłą neutralność.

„Plan D”

Plan obrony Francji oparty był na projektach Pétain'a i po uzgodnieniu z Anglią (jako „Plan D”) przewidywał, że w chwili napadu Niemców — armie Alzacji i Lotaryngii

zachowają się obronnie, a grupa północna, wykonując ruch naokoło Sedanu, wyjdzie na linię Antwerpia—Namur, z zadaniem utrzymania jej.

Ruch armii alianckich do Belgii wykazał niekonsekwencję strategii dowództwa. Skoro cała doktryna i duch, przepajający armię, polegały na mocy fortyfikacji i przewadze środków obronnych, skoro uzbrojenie było niekompletne, skoro przez całą zimę męczono żołnierzy kopaniem rowów w twardym gruncie Flandrii, stawianiem umocnień polowych na północ od linii Maginota (od Montmedy do morza), poco było szukać (nie)szczęścia w otwartym polu, gdzie Bóg Zwycięstwa zawsze jest po stronie tych, co mają więcej batalionów i sprzętu?

Manewr był nie tylko spóźniony (uderzenie niemiecki zważyło się na aliantów, zanim umocnili się oni na obcym terenie), ale i połowiczny: bez wielkich zapasów broni, amunicji i bez odwodów przeciwdrocznienie nie mogło sprostać nawałce pancernej Niemców. Podczas gdy wróg ściągnął wszystkie siły i na „wale Zygryfda” pozostawił jedynie starców, Gamelin skurczył swe i tak szczupłe siły przez pozostawienie na linii Maginota najlepszych oddziałów armii.

Dla Niemców operacja aliancka nie była niespodzianką. W okresie „wojny nerwów” 1940 r. sprowokowali oni bowiem generalną repetycję „planu D”.

Pewnego dnia lądował „przymusowo” w Belgii niemiecki samolot z oficerem generalnego sztabu. Przytapani przez Belgów, zaczęli oni pośpiesznie palić i niszczyć papiery. Dziwnym trafem ocalały jednak dokumenty, z których wynikało, że niebawem niemieckie dywizje (dokładnie oznaczone w załączonym planie) napadną na Belgię. Bruksela ogłosiła alarm, Gamelin zarządził pogotowie wojenne nr. 3, nr. 2, nr. 1 i armie alianckie ruszyły do Belgii, dokładnie obserwowane przez niemieckie samoloty wywiadowcze i lądowe agencje szpiegowskie. Uderzenie niemieckie, naturalnie, nie nastąpiło w spodziewanym czasie i armie alianckie, po zużyciu ogromnych ilości paliwa, wróciły na stanowiska wyjściowe.

Posiadający pełną przewagę techniczną, wróg nie bombardował postępujących naprzód do Belgii oddziałów gen. George'a, ograniczając się do niszczenia tyłowych linii komunikacyjnych i dróg odwrotu, pętając ruchy alianckich masami uciekinierów. Już ten fakt powinien był zastanowić Gamelina. Nie zwrócił jednak na niego uwagi. Dopiero, gdy nastąpiło przerwanie linii nad Mozą i załamanie się „zawiasu sedanckiego”, t. j. sklepienia całego frontu, i gdy północna armia znalazła się w potrzasku — naczelne dowództwo zorientowało się w rozmiarach klęski.

Kto ponosi winę za katastrofę sedaną? Dnia 15-go maja poszli do dymisji naczelny wódz oraz 15 generałów, na czele z byłym szefem sztabu Weyganda, dowodzącym obroną frontu Sedanu (9-a armia). Na jego miejsce wyznaczony został gen. Giraud, który szukając rozproszonego sztabu swego poprzednika, natknął się na Niemców i trafił do niewoli.

Ale dymisje i zmiany nie potrafiły zasłonić faktu, że prawdziwymi sprawcami klęski byli twórcy fatalnych planów majowych, oraz przede wszystkim ci sami ludzie, którzy zaślepili rutyną poprzedniej wojny nie dojrżeli możliwości nowych broni. W r. 1934 de Gaulle wskazał, że właśnie lasy Ardenii oraz rzeka Moza stanowią groźną „bramę inwazyjną”, gdyż starczy „jednej omyłki lub chwili opieszałości” — i pancerne-motorowy wróg po pokonaniu przeszkód naturalnych znajdzie się na terenie, pozbawionym wszelkich naturalnych czy sztucznych zapór, a posiadającym świetne warunki rozwinięcia się we wszystkich kierunkach, obchodząc północne skrzydło linii Maginota. Pétain jednak i Weygand odrzucili wszystkie projekty wzmocnienia obrony tych odcinków, uważając je za niemożliwe do sforsowania.

Jest ironią losu, że do ratowania Francji zaproszono właśnie tych, którzy najbardziej zawiniли.

Veni, vidi, — Vichy.

Uwięzienie Weyganda (w późniejszym okresie) stworzyło naokoło niego nową legendę. Kronikarze ostatniego okresu stwierdzają jednak zgodnie, że on również był defetystą, który więcej bał się zwycięstwa Republiki niż jej klęski, uważając, że w wyniku tej wojny mogą dojść do głosu elementy lewicowe. Była to stara tradycja wielkich generałów Francji — marszałek Barain po pierwszej klęsce Sedanu skapitulował (w twierdzy Metz) z olbrzymią armią (180.000), gdyż po upadku cesarstwa nie chciał bronić republiki. Faktem jest, że część najlepszego wojska Weygand trzymał na użytek wewnętrzny, a już 6-go czerwca nakłaniał rząd do kapitulacji. Faktem jest, że gdy Reynaud i de Gaulle postanowili ewakuować półmilionową armię, sprzęt, flotę, lotnictwo i materiały wojenne do Afryki i uzyskali na ten cel w Londynie 500.000 tonażu floty, — Weygand sabotował rozkazy ewakuacji, a Laval, interweniując u prezydenta Lebrun przeciw planom przeniesienia do Algeru, — powołał się na autorytet uszlifowanych zbawców ojczyzny.

Na scenę razem z Lavalem wystąpili również macherzy polityczni najgorszego gatunku: Doriot, Déat i inn. Ludzie ci sprzeniewierali się już w ciągu swej kariery wszelkim ideałom i hasłom, zdradzali partie, ideologie i ojczyznę, pozostając wiernymi tylko swej nienasyconej żądzy bogactwa i nienawiści do tych, którzy go tworzą.

Kiedyś Weygand powiedział Pétainowi: (Dokończenia na str. 5)

K O L U M N A A N G I E L S K A

JOSEPH BARNES

Anglia spogląda w przyszłość ¹⁾

Londyn, 28-go maja

W noc, ożywione nadzieją rychłego wyswobodzenia kontynentu europejskiego, Anglicy podobno śnią o combach baranich w sosie miętowym i smacznych kaskach wołowiny z knedlami.

Nie ma się czemu dziwić w piątym roku wojny.

Siła robocza, transport, dostawy w przededniu inwazji, wszystko zamarzło silniej niż kiedykolwiek dotychczas, lecz pod skorupą lodu woda płynie wartkim prądem, i jednym z dziwnych paradoksów tej słonecznej, londyńskiej wiosny jest fakt, że mniej się chyba ludzie zastanawiają nad tym, co wojska sprzymierzone przyniosą Europie, niż nad tym, co zwycięstwo przyniesie Anglii.

„Zacznij się powódź rządowych memoriałów” — brzmi tytuł jednego z artykułów wstępnych; wszystkie starają się wykreślić kontury wydarzeń, które przyjdą po tej, najbardziej przeraźliwej w historii Anglii, wojnie.

Nie wymyślił tego po prostu Brendan Bracken, minister informacji, kierujący propagandą tak pewnie, jak to tylko potrafi człowiek, który twierdzi, że za nic nie chciałby się tym zajmować. Co poważniejsze gazety i ogromna powódź broszur, zrodzonych zapewne z braku papieru, omawiają przyszłość Anglii pod każdym niemal kątem widzenia, poruszając od sprawy odbudowy gmachu Izby Gmin, kończąc na sprawie wykorzystania dla budowy elektrowni silnego prądu wody rzeki Severn.

Sir Herbert Williams, bardzo konserwatywny poseł do Izby Gmin z Croydon, powiedział w tym tygodniu głośno to, co wielu ludzi u władzy myśli o planach na po wojnie: „Nie mam najmniejszej wątpliwości, — oświadczył on, — że gdy ludzie przebudzą się ze snu, w którym będą pogrążeni w ciągu pierwszych trzech miesięcy po zakończeniu działań wojennych, trzy czwarte materiałów, o których sobie tak swobodnie gawędzimy, zawędrują do kosza”. Tego rodzaju szczerość zasługuje na posłuch i znalazła posłuch.

Przeprowadzenie masowych badań, ta nowoczesna i ujawniająca prawdziwy stan rzeczy angielska technika sondowania opinii, pozwoliło na opublikowanie sprawozdania pod tytułem „Droga do domu”. Wskazuje ono na zatrważające uczucie rozczarowania i obawy o przyszłość, jakie ogarnęło szarego człowieka. Przytacza ono dla przykładu następujące słowa właściciela pewnej knajpy: „Był tu jeden człowiek, który wrócił z Dunkierki, duży, tęgą chłop. Gadało się z nim, co będzie po wojnie, a on wtedy powiedział: „Nigdy w życiu! Gdy taki jeden z drugim wróci z wojny, wyjdzie znowu na spokojną ulicę, to nawet mu się nie przysni łamać sobie głowy polityką lub podobnymi sprawami. Usadowi się wygodnie w fotelu, nogi wywali na kominiek, i niech tam sobie!” A ja myślę, że on miał rację”.

Mało z tych, którzy przeżyli wojnę w Londynie, potrafi przepowiedzieć, czy ta tendencja doprowadzi po wojnie naród do apatii, czy też do żądania radykalnych przemian społecznych. Przewidzieć tego jeszcze nie można, a piękna ciekawość ludu angielskiego, któryby chciał zajrzeć w przyszłość, stanowi wyzwanie dla rządu. Trzeba przyznać, że koalicji-

ny rząd p. Churchilla przyjął to wyzwanie.

Mingło teraz osiemnaście miesięcy od chwili, gdy Sir William Beveridge ogłosił swój program „bezpieczeństwa społecznego”.

Dla Anglików słowa te oznaczają wszystko, co jest związane z powojenną polityką wewnętrzną, i pod żadnym pozorem nie należy ograniczać ich znaczenia do pojęcia ubezpieczeń społecznych. „Nikt, kto pobiera zasiłek, nie czuje się bardzo bezpiecznie” — powiedział któregoś dnia Ernest Bevin, jeden z głównych twórców planów na po wojnie.

„Żywność, praca i mieszkania dla wszystkich!” — brzmiał przepis na bezpieczeństwo, ogłoszony przez p. Churchilla w listopadzie ub. r. na dwa dni przed zamianowaniem lorda Wooltona ministrem Odbudowy. Wooltonowi powierzono przygotowanie planu powojennej gospodarki angielskiej. Prócz wyżej podanego przepisu i solidnej uczoności sprawozdania sir Williama, lord Woolton oddzielił również szereg memoriałów rządowych w stanie embrionalnym, nad którymi głowiły się najtęższe mózgi w kraju. Kontury angielskiej czterolatki naszkicował w marcu 1943 r. sam premier.

P. Churchill wyliczył wówczas sześć praktycznych zagadnień, w sprawie których żądał wypracowania starannych, wzajemnie uzgodnionych projektów. Lista, przezeń sporządzona, jest po dziś dzień rusztowaniem, na którym spoczywają i nadzieje, i sceptycyzm, z jakimi mieszkańcy Wielkiej Brytanii odnoszą się do problemu odbudowy powojennej. Lista ta zawiera:

1) Ubezpieczenia społeczne. Mają one być ogólnonarodowe, przymusowe dla wszystkich stanów i we wszystkich celach, od kołyski do grobu.

2) Atak na bezrobocie. Niektórzy sądzili, że premier miał na myśli zagwarantowanie pracy dla wszystkich, ale wypowiedź w tym względzie była raczej dyskretnie mglista.

3) Rolnictwo. Tu premier domagał się rozszerzenia i ulepszenia uprawy roli w Anglii.

4) Zdrowotność publiczna. Domagał się narodowej służby zdrowia, opartej na solidnej i szerokiej podstawie.

5) Wychowanie. Żądał, by szkolnictwo rozszerzyło swój zakres i stało się bardziej liberalne, gwarantując wszystkim jednakowe możliwości.

6) Odbudowa. To znaczy odbudowa według nowych planów miast, które ucierpiały od nazistowskiego „blitzu”.

Polityka rządu w trzech z wymienionych problemów znalazła swój wyraz w memoriałach rządowych, pisanych tym pięknym, jasnym i prostym stylem, który przycynia się do tego, że sprawozdanie rządowe jest jednym z istotnych czynników angielskiej demokracji. Sprawozdań w pozostałych trzech sprawach oczekuje się w najbliższych tygodniach. W hierarchii angielskich zainteresowań na czele listy znajduje się sprawa wojkowego zwycięstwa, zaraz potem idą problemy zatrudnienia i demobilizacji. Dalsze miejsca zajmują problem mieszkaniowy (stanowiący właściwie tylko pewien odcinek problemu odbudowy), ubezpieczenia społeczne i wychowanie.

Fakt, że w chwili, gdy armie sprzymierzone atakują niemiecką fortecę, Anglicy troszczą się o wszystkie te sprawy, wydaje się mniej paradoksalny w Londynie, niż w Nowym Jorku. W Anglii 45.000.000 ludzi zamieszkuje terytorium nie większe niż Nowy Jork i Pensylwania. Każda pięćdziesiąta część teraz zużytkowana, sady warzywne znajdują się na zboczach nasypów kolejowych, pastwiska zaorane są pod pszenicę, wrota i sztache-ty zostały przetopione na szele.

Anglia zainkasowała już swe zamorskie zyski. Zamiast 200.000.000 funtów dochodu rocznego z inwestycji zagranicznych, dzięki któremu wyspy Brytyjskie mogły importować wszystko, czego im było trzeba, w chwili zakończenia wojny na Anglii ciążyć będzie dług zamorski w wysokości prawdopodobnie około 3.000.000.000 funtów. Finansiści londyńscy przepowiadają, że nawet najkorzystniejsze uregulowanie spraw finansowych wymagać będzie rocznej wpłaty 60.000.000 funtów, a więc sumy dwukrotnie większej od niespłaconej części długu angielskiego, przypadającej na rzecz Stanów Zjednoczonych w r. 1932. Nie należy się więc dziwić, że masowe badania, o których wyżej wspominaliśmy, ujawniły, że jedna na dziesięć spośród badanych osób wyraziła zamiar wyemigrowania po wojnie.

Debata na temat planów na po wojnie nie ma więc w Anglii charakteru akademickiej dysputy, a spory dotyczą jedynie czasu, kiedy się ma odbywać. Liberalowie bowiem okazują swe niezadowolone i zniecierpliwienie, gdy tylko podejrzewają kogoś o chęć odroczenia dyskusji. W tym tygodniu rząd ogłosił, że według jego przewidywań w okresie demobilizacji 7.000.000 osób będzie musiało zmienić swe dawne zajęcia. Wielu z nich chciałoby wiedzieć, czy znajdą się nowe zajęcia, na które możnaby zamienić dawne, i jakie będzie oblicze Anglii, o której uratowanie tak ciężko walczą.

Brytyjska Partia Pracy jest przedmiotem

GEORGE BIDLEY

Brytyjska „Labour Party”

stałej ciekawości i powodem zakłopotania przybyszów z zagranicy. Nie mogą oni zrozumieć, jak może powstać wielka partia polityczna bez oparcia o „sztywną” ideologię. Brytyjska Partia Pracy nie ma takiego oparcia. Nie kryje się ona w cieniu postaci Marxa, jak to się dzieje z większością kontynentalnych ruchów socjalistycznych.

Historyk powie, że Brytyjska Partia Pracy zrodziła się w r. 1899 z rezolucji, powziętej przez Kongres Związków Zawodowych na zgromadzeniu w Plymouth. Będzie to szumsne, ale nie będzie zawierać całej prawdy. W rzeczywistości Partia powstawała stopniowo, a uchwała w Plymouth oznacza pewne określone stadium w jej rozwoju. Okropności i okrucieństwa rewolucji przemysłowej zmusiły ludzi do myślenia kategoriami politycznymi. W jaki inny sposób można było miarkować lub łagodzić niesprawiedliwości „tych ponurych, szatańskich fabryk”? Idea akcji politycznej nie docierała być może do świadomości szerokiego ogółu, ale, w okresie politycznych niepokojów, liczni radykalni reformatorzy pobudzali ją do życia i w ciągu w. XIX ludzie pracy zaczęli się regularnie pojawiać w Izbie Gmin.

Występowali oni w luźnych związkach, nie podległych żadnemu kierownictwu (jeżeli nie brać pod uwagę lojalności, okazywanej Partii Liberalnej). Rezolucja w Plymouth była celową i uświadczoną powodem próbą stworzenia w Izbie Gmin zwartej organizacji, pozostającej pod kierownictwem całkowicie niezależnym od ortodoksyjnych partii. Zaczętki tego przedsięwzięcia były bardzo pomyślne. W powszechnych wyborach r. 1906 Partia przedstawiła 50 kandydatów; z nich przeszło w wyborach 29. Stanowiło to bardzo wysoki odsetek. 29 ludzi, ożywionych zapałem i gotowych do poświęceń, jak to miało miejsce w danym wypadku, mogło spowodować, i w rzeczywistości spowodowało, wielkie reformy w Izbie. Najbardziej bezpośrednia i o największym znaczeniu zmiana miała miejsce w dziedzinie charakteru pracy parlamentarnej i jej wyników prawodawczych. Problemy socjalne, sprawy, które były najuciążliwsze dla ludzi pracy, zaczęto teraz dyskutować w całkowicie nowym zrozumieniu ich znaczenia i nagłości. Zmienił się cały kierunek brytyjskiej polityki w tej dziedzinie. W wyborach Partia zwyciężyła i rosła, jak to wskażą następujące cyfry:

Wybory powszechne	Ilość wybranych posłów	Ilość głosów
1906	29	323,195
1918	57	2,244,945
1922	142	4,236,733
1929	237	8,364,883
1931	52	6,648,023
1935	154	8,326,131

Rozpatrując te cyfry, należy mieć na uwadze, że Partia zawsze musiała walczyć z trudnościami pieniężnymi, prasa była wrogo względem niej nastawiona i dlatego aktywa, jakimi rozporządzała (jeżeli pominąć bezprzekładne przywiązanie jej członków), daleko ustępowały środkom, jakimi rozporządzali jej przeciwnicy. Członkostwo Partii opiera się na następującym schemacie: 1) członkowie związków zawodowych, rekrutujący się wyłącznie spośród tych członków związków, którzy wyraźnie zgodzili się wnieść specjalną opłatę niezależnie od zwykłych składek członkowskich, 2) spółdzielnie, 3) nienależących do związków obywateli, którzy pragną wstąpić do partii i wnieść odpowiednie wpłaty na rzecz jej funduszu.

Na ostatnim zgromadzeniu Partii, w czerwcu 1942, lista członków przedstawiała się w sposób następujący: związki zawodowe — 2,230,376, spółdzielnie — 28,108, nienależący do związków — 226,621.

Każdy, kto badał cyfry wyborcze, które powyżej przytoczyłem, musiał spostrzec pewne niedociągnięcia brytyjskiego systemu wyborczego. Dwa wydarzenia wymagają krótkich wyjaśnień: a) prawo głosowania w wyborach z r. 1918 było znacznie rozszerzone, b) wybory z r. 1931 prowadzone były w warunkach bardzo nieprzychylnych dla Partii i chyba nigdy jeszcze partii opozycyjnej nie brakowało tak niewiele do zwycięstwa.

W chwili, gdy zwycięstwo się już zbliża, związane z sobą problemy politycznego, powojennego „wyrównania” i niezależności stały się przedmiotem ożywionej dyskusji. W Wielkiej Brytanii pracujemy w tej chwili pod hasłem wyborczego zawieszenia broni. Oznacza to, że, by nie łamać i nie nadwyręzać „Jedności Narodowej”, którą reprezentuje rząd Churchilla, trzy wielkie partie polityczne zgodziły się nie konkurować z sobą przy urnach wyborczych. Partia Pracy miała szczególne powody, by poddać się takiemu czasowemu układowi, ponieważ wywierała ona główny nacisk w kierunku bardziej skutecznego i energicznego prowadzenia wojny w przemysłowym momencie, który zakończył się rezygnacją Neville’a Chamberlaina i utworzeniem gabinetu Churchilla.

Wojnę przeżyjemy. I co wtedy? Nikt w Wielkiej Brytanii nie ośmielił się z pewną presją do dokładności przewidywać najbliższą

przyszłość angielskiej polityki. Sądzę, że bez obawy popełnienia błędu przewidzieć można dwie rzeczy. Partia Pracy czuje się równieź nieswojo w warunkach koalicyjnych, jak czuła się w rządzie mniejszości. Mimo więc, że nigdy nie straci ona z oczu obrazu rzeczywistości, ani też szczególnych konieczności i obowiązków, wypływających z wyjątkowej sytuacji, ma ona nadzieję odzyskać swe normalne stanowisko w angielskim życiu politycznym i stać się znowu niezależną siłą. Długo będzie ona dążyć i o co będzie walczyć w warunkach pokojowych?

Przede wszystkim z pewnością będzie walczyć o zabezpieczenie pokoju. Będzie domagać się podjęcia wszelkich kroków, niezbędnych do tego, by normalny rozwój cywilizacji światowej nigdy już nie została zahamowana przez rozbójniczego gangstera. Musi powstać organizacja międzynarodowa, rozporządzająca siłą, dostateczną dla dania gwarancji, że ci, którzy będą usiłowali przeszkadzać człowiekowi w jego dążeniu do obojętnego i przyjemnego życia, zostaną siłą powstrzymani od dokonania próby zamachu. Zbiorowe bezpieczeństwo korzystać będzie z dostatecznego autorytetu, by zbiorowość uczynić bezpieczną. Wtedy świat i państwa będą mogły przystąpić do planowania sposobów korzystania z bogactw świata. Nie mogłyby tego uczynić, gdyby im wciąż zagrażała obawa wojny. W dziedzinie światowego planowania Karta Atlantycka jest dokumentem wielkiej wagi. Sygnatariusze jej bowiem zamierzają nie ograniczać się jedynie do planowania odbudowy i ulepszenia warunków życiowych swych własnych obywateli, lecz mają się starać podnieść poziom kulturalnego i gospodarczego bytu milionów ludzi, należących do mniej szczęśliwych narodów w zacofanych pod względem rozwoju krajach.

W polityce wewnętrznej postawiony będzie postulat zasadniczej reorganizacji. Partia jest głęboko przekonana, że jej własna polityka znalazła całkowite usprawiedliwienie w przymusowej organizacji wysiłku wojennego. W żaden inny sposób nie można było uzyskać tego, by wysiłek narodowy stał się czymś więcej niż zbieraniną zupełnie nieskoordynowanych wysiłków jednostek. Wobec tego Partia nie widzi powodu, dlaczego nie mianoby zastosować tego samego kierowanego wysiłku w dziedzinie odbudowy. Planowa uprawa roli uratowała kraj przed klęską głodową. Dlatego wielu spośród nas ma grozić śmierć głodowa w czasie pokoju, jeśli podczas wojny wszyscy mogli korzystać z planowanego dostatku?

Trzeba nam milionów domów nie tylko dla odbudowy zrujnowanych okręgów, lecz w celu doprowadzenia naszych warunków mieszkaniowych do nowoczesnego, cywilizowanego poziomu przyzwoitości, wygody i sztuki. Musimy zreorganizować naszą gospodarkę przewozową, korzystając z wszystkich dostępnych nam źródeł wiedzy i wynalazczości, stworzyć rzeczywiste skutecznie działającą arterię życia i handlu. W tych i wszystkich innych kierunkach Partia będzie się domagać, by proces odbudowy nie był zdany na łaskę wyzyskiwaczy, lecz by odpowiadał istotnym potrzebom społeczeństwa.

Jako minimum więc Partia będzie domagać się, by system kontrolowanej gospodarki został zachowany w wielu dziedzinach. W innych sprawach żądania Partii pójdą dalej. Ubiegłego roku znacionalizowaliśmy złoża węglowe. Byłoby niedorzecznością, gdybyśmy mieli nie znacionalizować jednocześnie procesu wydobywania węgla z głębi ziemi. Należy się więc spodziewać, że Partia będzie się domagać upaństwowienia całego przemysłu górniczego, produkcji i rozdziału. Pewne projekty ma Partia i w dziedzinie systemu bankowego. W czasie wojny rząd uznał za właściwe poddanie gospodarki bankowej kontroli ministra skarbu. Niezmiernie ważne sprawy udzielania kredytów i kierowania inwestycjami nie są już zależne od polityki, uprawianej przez polityków na zysk bankierów. Kieruje nimi państwo w interesie całej społeczności. Tak też powinno być, i w przyszłości banki powinny się znaleźć we władaniu i pod kontrolą społeczeństwa.

Na czoło tych wszystkich problemów, lub przynajmniej większości ich, wysuną się jednakowe trudności, związane z demobilizacją przemysłu i przedstawieniem go na tory pokojowe. Wiemy, że przez długie lata żyć będziemy w świecie wielkich niedostatków i że cierpiąca, powojenna Europa kołatać będzie do naszych drzwi. Partia będzie się domagać, by nie można już było w przyszłości przeciwstawiać dotkliwy niedostatek jednych zbyt kłopotliwym życiu drugim, a jeśli jakiegokolwiek wyrzeczenia będą nie do uniknięcia, by dotknęły one w równym stopniu robotnika i właściciela kopalni.

Bieg polityki światowej jest przedmiotem żywej dyskusji i rozważań. Znajdujemy się w przededniu najbardziej twórczego okresu w dziejach ludzkości. Świat dojrzał do wielkich przemian. Bez wątpienia Brytyjska Partia Pracy jest świadoma swej odpowiedzialności w skali światowej.

U ŹRÓDEŁ KLĘSKI FRANCJI

(Dokończenie ze str. 4)

„Niech pan oszczędza swe siły, wypadnie panu odegrać we Francji tę rolę, którą Hindenburg odegrał w Niemczech...” Było to jedno z bardzo niewielu przewidywań generała, które sprawdziło się w najbardziej złożonej sytuacji. Dnia 16-go czerwca Pétain przekazał Francję najeźdźcom. Losem starych marszałków — zauważył ktoś — jest oddawanie ojczyzny Hitlerowi w Niemczech, Pétain we Francji.

Droga powrotna

Klęska Francji nie była wynikiem tylko błędów dowódców wojskowych. Simon szlusznie przypomina twierdzenie Clausewita, że „żadne wielkie państwo europejskie nie może być zwyciężone bez uprzedniego poderwania jego jedności”. Kryzys systemu sięgał niewątpliwie głęboko, a korupcja i walki wewnętrzne otworzyły na oścież drzwi dla Piątej Kolumny. Naród wstąpił do wojny pod akompaniament słów Marcela Déata, że nie warto „umierać za Gdańsk”, a połowicznie wyzyskany czas quasi-wojny między wrześniem 1939 a majem 1940 raczej obniżył ogólny poziom moralny. Dlatego w czerwcu 1940 r. nie umierano nawet za Paryż.

Dzisiaj niewola niemiecka scaliła szeregi francuskie. Linia podziału między obozem Francji a obozem Vichy jest wyraźnie zaznaczona. Gdy padnie sygnał, przekonamy się, że naród odnalazł Francję, a Francja swą wielkość.

Gustaw Rey

Nie zdziwił się więc wcale bezdomny ulubieniec osierocony Gerberta Sylwestra, gdy metropolita koloński zaczął swoją doń przemowę od słów:

— Chwilowo nie mogę ci udzielić nadal gościny, musisz pojechać...

Zdziwił się dopiero wówczas — a radosne to było zdziwienie, — gdy Herybert zakończył wstępne zdanie słowami:

— ...do Kordoby, skądś niedawno przybył.

Cały koszt dalekiej podróży arcybiskup brał na siebie. Okazało się, że już się porozumiął w tej sprawie z trzema bogatymi Żydami: — jednemu z nich odstąpił miyn nad Renem, drugiemu lasek i winnice, trzeciemu duże pastwisko wraz z bydłem i obowiązkami wypasania dla siedmiu rodzin, przynależnych do włości kościoła świętego Gereona.

— Chciałbym, ojcze Aronie, byś mi przyprowadził z Hiszpanii takich samych mistrzów w zarządzie winnicami i rękodzielnami, jak Leuterykowi do Sens. Odkąd ich ma u siebie, wzbogacił swe arcybiskupstwo-piekielokrotne. Osiedzielięciu kolonów przeniósł z ziemi w mury miejskie: pod rozkazami tych, którychś wykupił, robią podobno istotne cudenika: stoły, stołki, łoża, lampy, kielichy, misy...

Na zakończenie zaś rozmowy Herybert dorzucił:

— A powiedz tym tam w Hiszpanii, ojcze Aronie, że jak do mnie przyjdą, inaczej niż tu będzie, niż u Leuteryka: ani głodu nie zaznają, ani poniżenia...

Za trzecią swą bytnością w Kordobie Aron nie kwapił się do odnowienia starych znajomości i przyjaźni. Nie myślał już o nauce u mistrzów arabskich, — unikał rozmów, co napawało go zwątpieniem i zgorzaniem, — nawet Ibn al Faradi odwiedził dwukrotnie tylko, a i to bawiąc obydwa razy nie dłużej, niż przez niespełna godzinę. Przecież takie krótkie nawet odwiedziny nie pozostają bez śladu: szczególnie po drugiej swej bytności u uczzonego Araba Aron opuszczał jego dom ze ściśniętym sercem, z pełną zamętowi głową.

Pamiętasz? — zagadnął go Abdallah Ibn al Faradi — mówiliśmy z sobą niedgys o niezmierności wszechświata oraz o tym, że nasza ziemia to tylko nedzny pyłek, umieszczony, jak niektórzy powiadają, na grzbiecie ryby olbrzymiej, zatkniętej na rogu byka...

— Pamiętam, — z niepokojem wyszeptał Aron.

— Więc słuchaj, — również szepetem, podnieconym szepetem rzekł Ibn al Faradi, — jest taka nowa tajna nauka, która twierdzi, że

^{*)} Fragment z drugiego tomu powieści „Srebrne Orły”, której tom pierwszy już się ukazał nakładem Wydawnictwa „W drodze”.

JOZEF WITTLIN	
	
STABAT MATER	
Stała matka boleściwa — na rynku Przy swym martwym, powieszonym synku.	Po tej ziemi, która umęczona Stoi — patrzy — i milczy — jak ona.
 	
Stała w świąta przeraźliwej pustce Polska matka w służąckiej chustce.	Stabat Mater, Mater dolorosa, Gdy jej synów odcinali z powroza.
 	
Nie płakała i nie nie mówiła, Zimne oczy w zimne zwłoki wbiła.	Kładła w groby, głuche jak jej noce, Martwe swego żywota owoce.
 	
Wisiął bosy, z wszystkiego wzytu, Niemcy przed tem zabrali mu buty.	Stabat Mater, Mater nostra, Polonia, Z cierni miała koronę na skroniach.
 	
Będą w butach jej syna chodziłi Po tej ziemi, którą pohańbili.	

ŻYDOM POLSKIM (1942)

Krew z waszej starej krwi, kość z waszej kruchej kości,
O bracia moi w ghettach, ja nie mam słów dla mej wielkiej żalości.

Męczeńska wasza krew na brukach Polski zastyga,
Męczeńska wasza krew już z trudem pieśni moja dźwiga.
Strzaskana wasza kość na polskich polach biełaje,
Zgłodniaty omija ją pies: przekleństwo z kości tych ziejże.
Wnętrznosci szarpie wam gród, katowska rozrywa je kula,
Daremnie czekacie na cud, śmierć w papierem otula.
Papierem: nowego anioła śmierci brudnymi skrzydłami
Szeleści mojej boleści śpiew — bezennymi nocami.

Gdzie jesteście, manno niebieska na nowej świąta pustyni?
Gdzie jesteście, lasko Mojżesza, co cuda dotkniesz swym czyni?
Gdzie jesteście, Łaski krymion, co zmywasz grzechy żywota?
Gdzie jesteście, zorzo światłości, przed którą pierzcha ciemnota?

Fontanną mleka trysnęło z pod kocich łbów Nowolipie,
Z ceglanych murów niewoli preczysta mąka się spłyje.
Winną macią porośło Leszno jak stoki Karmelu,
Marzeniem duszę bezgrzeszną upijasz, mój przyjacielu.
Amerykańskiej pomocy czekasz, jak ongi — Mesjasza,
Naprawdę żydowski twój lekarz widmo zarazy przepłasza.
Brat-chrześcijanin tajemnie przyniósł ci kilo ziemniaków,
Truciznę zażył ghettowy twój burmistrz Adam Czerniaków.
Na magistracie wieczności prezydent Starzyński go witał:
— Podaj mi rękę, bracie! — powiedział i o nic nie pytał.

Krew z waszej starej krwi, kość z waszej kruchej kości,
O, bracia, smutną wam pieśń posyłam z dalekiej wolności.
Wnętrznosci szarpie wam głód, katowska rozrywa je kula,
Daremnie czekacie na cud, śmierć w papierem otula.
Papierem: nowego anioła śmierci brudnymi skrzydłami
Szeleści mojej boleści śpiew — bezennymi nocami.

TEODOR PARNICKI

nasza ziemia wcale nie jest płaskim, jak ta-
lerz, okregiem, tylko kulą...
— Kulą? — zawołał Aron i zaśmiał się.
— Jakżeż się ona utrzymuje na grzbiecie ry-
by? Musiałaby się toczyć przecież przy każ-
dym drgnięciu rybiego grzbietu i wszyszy
byśmy dawno pospadali z ziemi...
— Weale nie musi toczyć się, może tylko
lekko się kołysać... Któż wie, może tylko
prawdą na miejscu stać tkwi nieruchome,
nam zaś wydaje się tylko, że wędruje po nie-
bie, że wschodzi i zachodzi, bo oto grzbiet
ryby drga od równomiernych oddechów i kula
się kołysze, przechyla się to na wschód, to na
zachód, a my z nią razem...

Aron długo nie mógł opanować śmiechu.
Wesoło się śmiał, drwiłgo. Słońce stoje w miej-
scu, a ziemia się rusza? I meżowie uczeni wie-
rzą w takie bzdury?!
— Ja też nie powiadam, że wierzę, —
szeptał Ibn al Faradi, — mówię ci tylko, że
są tacy, którzy w to wierzą... Zresztą za ta-
kie wierzenia do lochu sadzają i biją. W zes-
łym miesiącu na śmierć zatukli kupca żegla-
rza, który głośno na dziedzińcu meczetu prze-
konywał, że ziemia jest kulą. A chcesz wie-
dzieć, jak on próbował dowieść prawdy swych
słów? Oto mówił, że choć morze jest gładkie
zupelnie, to gdy z okrętu widzi się z daleka
inny okręt na wodzie, to zrazu jeno szczyty
masztu tylko widać... A gdy do brzegu się
dokpywa, to początkowo też tylko szczyty
same drzew widać...

Aron zaniekpoił się. Przypomniał sobie,
że gdy jechał okrętem z Anglii wraz z arcy-
biskupem Alfrykiem i Etelotem, uderzyło
jego wzrok i myśli to samo: od brzegów Nor-
mandii płynął im naprzeciw inny okręt żagło-
wy; istotnie, zrazu wyłonił się tylko wier-
chołek masztu. Zdumiony Aron zapyttywał ar-
cybiskupa Alfryka, czemu tak się dzieje, skó-
ro nie masz na wodzie wzgórków ni pochy-
łości żadnych. Arcybiskup odrzekł wówczas,
że to demon mórz, Neptun, zabawia się nie-
przystojnie z chrześcijanami, złośliwie mamiąc
ich wzrok magicznymi sztukami.

W nocy po odwiedzinach u Ibn al Faradie-
go przysłała się Aronowi Teodora Stefania.
Daleko przed siebie wyrzuciła pełne białe ra-
miona, — w obu zacisniętych pięściach coś
trzymała.

— Zgadnij, co tu mam? — pytała, uśmie-
chając się do Arona przyjaźnie, prawie przy-
milnie.
— Pomaraczę — odpowiedział, wskazu-
jąc na jej prawą rękę. — A po skórcie mrówki
biegają. Widzę, jak wypełzają ci z pomiędzy
palców.
Zaśmiała się.
To nie mrówki, to ludzie, całe ich gro-
mady, całe wojska, na bój spieszące.
— Ludzie na pomaraczę?
— To nie pomaraczka, to kula ziemska.
A co w drugiej? Dopomogę ci: coś cenniejsze-
go, niż cała kula i niż wszystkie ruchy gro-
mad wojowniczych po jej skórcie.
Aron uśmiechnął się. Oczywiście, zgadnie.
Nie naprożno tylu rzeczy nauczył się od pa-
pieża Sylwestra.

— Dusza — powiedział.
Spojrzała na niego z zachwytem.
— Zgadłeś. Ale powiedz: czyja dusza?
— Ottona.
Znowu zaśmiał się.
— Tymoteusza?
Zaśmiała się jeszcze głośniej, jeszcze we-
selej.
— Moja? — krzyknął w strachu i obu-
dził się, cały obłany potem.
Postanowił, że już więcej nie pójdzie do
Ibn al Faradiego. Jak za poprzedniej bytności,
gorączkowo rzucił się w wir zabiegów o wy-
kupno niewolników. Tym razem jednak nie
szło mu łatwo. Muchtasib, zaprzyjaźniony z
nim, znikł; nowy nie chciał nawet rozmawiać
z niewiernym, za pośrednictwem Żydów za-
wadiomł Arona, że postara się o rozkaz wy-
dalenia nieproszonego przybysza poza grani-
ce kalifatu. Aron dostrzegł wiele innych jesz-
cze zmian; mijając meczety, których piękno
i wspaniałość na długie często godziny przyku-
wały ku sobie jego wzrok, widział niejednego
ze swoich dawnych znajomych — ongiś roz-
mówianych w kpinach ze swej wiary i jej
ostróżd — dziś spieszących w uroczystym
strój, z powagą nabożną na twarzach, by
wziąć udział w codziennej wieczornej modlit-
wie lub świątecznej. Aron nie mógł się mylić:
nie podzielał do meczetów na wykłady; doszły
go bowiem wieści, że mistrzem, nawet grama-
tyki, nie tylko logiki i matematyki, z tygod-
nia na tydzień coraz surowiej zakazywano
publicznego wykładania.

Samotność, coraz to większa, pozostawia-
ła wiele wolnego czasu, który Aron poświęcał
nie tyle rozmyślaniom, ile przyglądaniu się
urokom kraju i miasta. W towarzystwie prze-
wodników żydowskich zwiadał wszystkie
dzielnice, wszystkie zaułki Kordoby, zdumie-
wając się wspaniałości i ogromowi stolicy ka-
lifów. Nie chciał wierzyć, gdy mu mówiono, że
pięćset tysięcy ludzi zamieszkuje tu trzyna-
ście tysięcy domów, — ale nie mógł nie przy-
znać milcząco, że Rzym ze wszystkimi swymi
wspaniałościami, gdyby przeniesiony został
jakąś sztuką magiczną tutaj, mógłby być co
najwyżej dwudziestym dziełwinyim przed-
mieściem Kordoby, i to wcale nie najwspaniał-
szym, nie największym, a napewno brudniej-
szym i uboższym, niż prawie wszystkie inne
przedmieścia. Przypomniał sobie, że mniszka
saksobnica Grosiwta, uczona poetka i żarliwa
szluzebnica Chrystusowa, pisząc kiedyś o Kor-
dobie, nazywała ją „diamentem świata”.
Wzrok Arona upajały kształty i barwy świa-
tyń i pałaców, przepych ogrodów, bogactwa
rojnych rynków, zwierciadlanó wody w rze-
ce i perlistość jej w fontannach niezliczo-
nych. Portyki oszalałmiaty pięknem marmu-
rów, blade różowych, blade zielonych, błękit-
nych lub czarnych. Przypominały mu się
słowa jednego z malarzy, którzy pod jego
kierownictwem zdobili tkaninę szat Ottono-
wych wedle pouczeń greckiej księgi; słowa te
brzmiały: „Barwy są jak ludzie: bywają moc-
ne i łagodne”.

Przebiegając ulice Kordoby, lub jej oko-
lice, Aron nie jeden raz pomyślał, że Magdóś
Przedwieczna w Hiszpanii ten sam raczyła na-
malować obraz, co w Italii, tylko tu użyła
mocnej barwy, a tam łagodnej. Istotnie niebo
w Hiszpanii mocniejszy miało błękit, niż niebo
nad Rzymem, Arecją lub Rawenną; mocniej-
sza tu była zieleń gajów oliwnych, winnic i
łók; mocniejsza żółtość i pomaraczowość owo-
ców szlachetnych; mocniejsza różowość i bia-
łość kwiecica, mocniejsza polyskliwość wody,
czarność oczu i włosów, śniałość szat, szaro-
ść cieniów, złocistość zielonkawa, księżycza,
srebrzystość gwiazd, rudość ognista słońca.
Ale nie tylko barwy i blaski były tu mocniej-
sze niż w Italii: także dźwięki i zapachy. Aro-
na przerażało i bolało, że tyle wspaniałości i
piękna stało się udziałem niewiernych blu-
nierów; ukośpokoła go dopiero myśl, że ponie-
waż wedle słów Sylwestra Drugiego za wszy-
stkie straty wieczności chrześcijanie muszą w za-
mian za dar wiary prawdziwej i łaskę chrztu
zabawienia płacić wyrzeczeniem się tych skar-
bów przedziwnych przyrody i sztuki. Ale
czuł, że za trzecim razem z większym stokrat-
nie żalem będzie opuszczał tę krainę, niż dwa-
kroć uprzednio.

Zaczął go nawiedzać pragnienie pozosta-
nia tu na zawsze: zrazu odpychał je od siebie
łatwo, z oburzeniem i zgrozą, potem coraz
trudniej, coraz słabiej.
— Co mnie tam czeka? — myślał smęt-
nie: — tutajcka nie kończąca się od klasztoru
do klasztoru, od dworu do dworu, chleb łaska-
wy, chleb jakże często gorzki, książąt, bisku-
pów, opatów, coraz krzywiej i podejrziwiej
patrzących na mlmcha wóceżęę, co był kiedyś
ulubieńcem Sylwestra Gerberta, mistrza nauk
tajemnych...
Pragnienie przekształciło się w postano-
wienie, a to po pewnym dniu, gdy miał naraz
dwoje odwiedzin. Rano rozmawiał z eunu-
chem, niedgys zarządca zaufanym posiadacza
czterdziestu dwu okrętów, od niedawna zaś
nędzarzem, prawie żebrakiem. Aron gorąco
namawiał go do opuszczenia kalifatu, obie-
cował, zgodnie z zaleceniami Heryberta, za-
rząd wielką przystanią rzeczną na Renie.
— Żyda! przywieź mi wiadomość od brata,
któregoś wykupił, — uśmiechnął się
wzgardliwie eunuch, — błaga mnie, bym nie
dał się takim jak ty namowić, bo wpadnę w
taką jak on straszliwą niewolę.
— Wolność ci nieosę, nie niewolę! — wy-
krzyknął Aron podniecony, oburzony.
Eunuch długo, bacznie mu się przyglądał:
— Znam się nie tylko na okrętach, ale
też na duszach ludzkich, — odrzekł, wolno
skądując każde słowo, — opowiadano mi też
wiele o tobie. Nie pobądzę, jeśli powiem, że
ani tobie, ani temu, który ci tu przysłał, a
dziś już nie żyje, nie dane było wiedzieć, co
nam przynosić.

Wieczorem odwiedził Arona stary presbiter,
zaufany biskupa chrześcijańskiego Kordo-
by. Długo opowiadał o poniżeniach, jakich do-
znają służi Chrystusowe pod władzą Polskie-
życza, o podatkach olbrzymich, co odrywają od
ust każdą niemal żywkę strawy, o trudnym,
niemał niewiernym życiu poza murami kościo-
w, istynni murami domów dla trędowatych.
Całą jego opowieść można było przełożyć na
jedno jedyne zdanie: „Kraina ta pełna dziwów
przyrody, sztuki i mądrości, ale nie dla nas te
dziwy; — dla nas tu jeno powinność nędy a
prawo do ęż”. Zakoczył zaś swą opowieść
nieoczekiwanymi słowami, poprzez które istot-
nie łąy się przedzierały:

— Pozostał z nami, bracie. Ten, który
mnie przysyła, wiele wie o tobie i o tym, który
ciebie przysłał, a który już nie żyje. Be-
dziesz lampą, wspaniale oświecającą mroki
domu trędowatych, co przecież zawsze jest
domem Prawdy i Zbawienia.

— Czego chce ode mnie ten krwawy,
okrutny morderca? — z zamierającym ser-
cem zapyttywał siebie Aron, nie mogąc ode-
wać zniechęconym w trwodze oczu od
niesamowitej purpury brody, ponad którą gru-
bawe, wcale nie arabskie wargi, układały się
w łagodny, prawie przyjaźny uśmiech.
Khairan zaś ciągnął dalej:

— Niezwykły to był gość. Miał na sobie
krótki, obcisły strój wojownika, odkryty po-
wóyczystą, lśniąca tkaniną, spływającą na
kszałt wąskiej opończy od naramienników
szczerosrebrnej kolczugi do zdobywających spi-
czerosrebrną równie szczerosrebrnych ost-
róg. Rubiny i ametysty zdobyli szczeroszłotą
rękoięś zakrzywionego, krótkiego miecza,
zatkniętego za wielobarwny pas. Z twarzy wy-
dał się Aronowi podobny nieco do Bolesława
Lamberta, — jasnoszare oczy i złotawe brwi
dźwinnie odbijały od ogorzałej na bronz cery.
Złotawe też włosy wynurzały się tu i ówdzie
spod ozdobionego ametystowym polkścieżcem
zawoju, barwy mocno purpurowej, tej samej
barwy, w jaką wymalowana była szeroka i
długa, aż na piers spadająca broda.
— Nazywam się Khairan — rzekł przy-
bysz.

Aron drgnął.

Dobrze mu znane było imię wodza najem-
nych družyn, co od dziesięcioleci siejąc post-
rach wśród chrześcijańskich wrogów kalifatu,
od lat kilku były postrachem także i Arabów
samych, którym służyły. Przecież poprzednie-
go właśnie wieczoru opowiadał Aronowi właś-
nie presbiter chrześcijański, że wojownicy
Khairana zamordowali niedawno potężnego
słyszal Aron przerażającą opowieść o mordzie
okrutnym, dokonanym przed dwoma laty, na
kalifie Mohammedzie al Mahdim, tym samym,
który ongiś ukrzyżował kazał pozabawione gło-
wy ciała Abd el Rahamana Sanczola. I to
właśnie Khairan — ten oto Khairan — tą sa-
mą ręką, którą dotyka teraz powitalnie ust
swoich i czoła, tym samym mozo krzywym
mieczem, jaki zatknęty ma za wielobarwnym
pasem, — osobiście mordercą kalifa Mahdie-
go, wraz z innym wodzem najemników, Anba-
rem.

— Czego chce ode mnie ten krwawy,
okrutny morderca? — z zamierającym ser-
cem zapyttywał siebie Aron, nie mogąc ode-
wać zniechęconym w trwodze oczu od
niesamowitej purpury brody, ponad którą gru-
bawe, wcale nie arabskie wargi, układały się
w łagodny, prawie przyjaźny uśmiech.
Khairan zaś ciągnął dalej:

— Niezwykły to był gość. Miał na sobie
krótki, obcisły strój wojownika, odkryty po-
wóyczystą, lśniąca tkaniną, spływającą na
kszałt wąskiej opończy od naramienników
szczerosrebrnej kolczugi do zdobywających spi-
czerosrebrną równie szczerosrebrnych ost-
róg. Rubiny i ametysty zdobyli szczeroszłotą
rękoięś zakrzywionego, krótkiego miecza,
zatkniętego za wielobarwny pas. Z twarzy wy-
dał się Aronowi podobny nieco do Bolesława
Lamberta, — jasnoszare oczy i złotawe brwi
dźwinnie odbijały od ogorzałej na bronz cery.
Złotawe też włosy wynurzały się tu i ówdzie
spod ozdobionego ametystowym polkścieżcem
zawoju, barwy mocno purpurowej, tej samej
barwy, w jaką wymalowana była szeroka i
długa, aż na piers spadająca broda.
— Nazywam się Khairan — rzekł przy-
bysz.

Aron drgnął.

Dobrze mu znane było imię wodza najem-
nych družyn, co od dziesięcioleci siejąc post-
rach wśród chrześcijańskich wrogów kalifatu,
od lat kilku były postrachem także i Arabów
samych, którym służyły. Przecież poprzednie-
go właśnie wieczoru opowiadał Aronowi właś-
nie presbiter chrześcijański, że wojownicy
Khairana zamordowali niedawno potężnego
słyszal Aron przerażającą opowieść o mordzie
okrutnym, dokonanym przed dwoma laty, na
kalifie Mohammedzie al Mahdim, tym samym,
który ongiś ukrzyżował kazał pozabawione gło-
wy ciała Abd el Rahamana Sanczola. I to
właśnie Khairan — ten oto Khairan — tą sa-
mą ręką, którą dotyka teraz powitalnie ust
swoich i czoła, tym samym mozo krzywym
mieczem, jaki zatknęty ma za wielobarwnym
pasem, — osobiście mordercą kalifa Mahdie-
go, wraz z innym wodzem najemników, Anba-
rem.

— Czego chce ode mnie ten krwawy,
okrutny morderca? — z zamierającym ser-
cem zapyttywał siebie Aron, nie mogąc ode-
wać zniechęconym w trwodze oczu od
niesamowitej purpury brody, ponad którą gru-
bawe, wcale nie arabskie wargi, układały się
w łagodny, prawie przyjaźny uśmiech.
Khairan zaś ciągnął dalej:

— Niezwykły to był gość. Miał na sobie
krótki, obcisły strój wojownika, odkryty po-
wóyczystą, lśniąca tkaniną, spływającą na
kszałt wąskiej opończy od naramienników
szczerosrebrnej kolczugi do zdobywających spi-
czerosrebrną równie szczerosrebrnych ost-
róg. Rubiny i ametysty zdobyli szczeroszłotą
rękoięś zakrzywionego, krótkiego miecza,
zatkniętego za wielobarwny pas. Z twarzy wy-
dał się Aronowi podobny nieco do Bolesława
Lamberta, — jasnoszare oczy i złotawe brwi
dźwinnie odbijały od ogorzałej na bronz cery.
Złotawe też włosy wynurzały się tu i ówdzie
spod ozdobionego ametystowym polkścieżcem
zawoju, barwy mocno purpurowej, tej samej
barwy, w jaką wymalowana była szeroka i
długa, aż na piers spadająca broda.
— Nazywam się Khairan — rzekł przy-
bysz.

Aron drgnął.

Dobrze mu znane było imię wodza najem-
nych družyn, co od dziesięcioleci siejąc post-
rach wśród chrześcijańskich wrogów kalifatu,
od lat kilku były postrachem także i Arabów
samych, którym służyły. Przecież poprzednie-
go właśnie wieczoru opowiadał Aronowi właś-
nie presbiter chrześcijański, że wojownicy
Khairana zamordowali niedawno potężnego
słyszal Aron przerażającą opowieść o mordzie
okrutnym, dokonanym przed dwoma laty, na
kalifie Mohammedzie al Mahdim, tym samym,
który ongiś ukrzyżował kazał pozabawione gło-
wy ciała Abd el Rahamana Sanczola. I to
właśnie Khairan — ten oto Khairan — tą sa-
mą ręką, którą dotyka teraz powitalnie ust
swoich i czoła, tym samym mozo krzywym
mieczem, jaki zatknęty ma za wielobarwnym
pasem, — osobiście mordercą kalifa Mahdie-
go, wraz z innym wodzem najemników, Anba-
rem.

— Czego chce ode mnie ten krwawy,
okrutny morderca? — z zamierającym ser-
cem zapyttywał siebie Aron, nie mogąc ode-
wać zniechęconym w trwodze oczu od
niesamowitej purpury brody, ponad którą gru-
bawe, wcale nie arabskie wargi, układały się
w łagodny, prawie przyjaźny uśmiech.
Khairan zaś ciągnął dalej:

— Niezwykły to był gość. Miał na sobie
krótki, obcisły strój wojownika, odkryty po-
wóyczystą, lśniąca tkaniną, spływającą na
kszałt wąskiej opończy od naramienników
szczerosrebrnej kolczugi do zdobywających spi-
czerosrebrną równie szczerosrebrnych ost-
róg. Rubiny i ametysty zdobyli szczeroszłotą
rękoięś zakrzywionego, krótkiego miecza,
zatkniętego za wielobarwny pas. Z twarzy wy-
dał się Aronowi podobny nieco do Bolesława
Lamberta, — jasnoszare oczy i złotawe brwi
dźwinnie odbijały od ogorzałej na bronz cery.
Złotawe też włosy wynurzały się tu i ówdzie
spod ozdobionego ametystowym polkścieżcem
zawoju, barwy mocno purpurowej, tej samej
barwy, w jaką wymalowana była szeroka i
długa, aż na piers spadająca broda.
— Nazywam się Khairan — rzekł przy-
bysz.

Aron drgnął.

Dobrze mu znane było imię wodza najem-
nych družyn, co od dziesięcioleci siejąc post-
rach wśród chrześcijańskich wrogów kalifatu,
od lat kilku były postrachem także i Arabów
samych, którym służyły. Przecież poprzednie-
go właśnie wieczoru opowiadał Aronowi właś-
nie presbiter chrześcijański, że wojownicy
Khairana zamordowali niedawno potężnego
słyszal Aron przerażającą opowieść o mordzie
okrutnym, dokonanym przed dwoma laty, na
kalifie Mohammedzie al Mahdim, tym samym,
który ongiś ukrzyżował kazał pozabawione gło-
wy ciała Abd el Rahamana Sanczola. I to
właśnie Khairan — ten oto Khairan — tą sa-
mą ręką, którą dotyka teraz powitalnie ust
swoich i czoła, tym samym mozo krzywym
mieczem, jaki zatknęty ma za wielobarwnym
pasem, — osobiście mordercą kalifa Mahdie-
go, wraz z innym wodzem najemników, Anba-
rem.

— Czego chce ode mnie ten krwawy,
okrutny morderca? — z zamierającym ser-
cem zapyttywał siebie Aron, nie mogąc ode-
wać zniechęconym w trwodze oczu od
niesamowitej purpury brody, ponad którą gru-
bawe, wcale nie arabskie wargi, układały się
w łagodny, prawie przyjaźny uśmiech.
Khairan zaś ciągnął dalej:

— Niezwykły to był gość. Miał na sobie
krótki, obcisły strój wojownika, odkryty po-
wóyczystą, lśniąca tkaniną, spływającą na
kszałt wąskiej opończy od naramienników
szczerosrebrnej kolczugi do zdobywających spi-
czerosrebrną równie szczerosrebrnych ost-
róg. Rubiny i ametysty zdobyli szczeroszłotą
rękoięś zakrzywionego, krótkiego miecza,
zatkniętego za wielobarwny pas. Z twarzy wy-
dał się Aronowi podobny nieco do Bolesława
Lamberta, — jasnoszare oczy i złotawe brwi
dźwinnie odbijały od ogorzałej na bronz cery.
Złotawe też włosy wynurzały się tu i ówdzie
spod ozdobionego ametystowym polkścieżcem
zawoju, barwy mocno purpurowej, tej samej
barwy, w jaką wymalowana była szeroka i
długa, aż na piers spadająca broda.
— Nazywam się Khairan — rzekł przy-
bysz.

Aron drgnął.

Dobrze mu znane było imię wodza najem-
nych družyn, co od dziesięcioleci siejąc post-
rach wśród chrześcijańskich wrogów kalifatu,
od lat kilku były postrachem także i Arabów
samych, którym służyły. Przecież poprzednie-
go właśnie wieczoru opowiadał Aronowi właś-
nie presbiter chrześcijański, że wojownicy
Khairana zamordowali niedawno potężnego
słyszal Aron przerażającą opowieść o mordzie
okrutnym, dokonanym przed dwoma laty, na
kalifie Mohammedzie al Mahdim, tym samym,
który ongiś ukrzyżował kazał pozabawione gło-
wy ciała Abd el Rahamana Sanczola. I to
właśnie Khairan — ten oto Khairan — tą sa-
mą ręką, którą dotyka teraz powitalnie ust
swoich i czoła, tym samym mozo krzywym
mieczem, jaki zatknęty ma za wielobarwnym
pasem, — osobiście mordercą kalifa Mahdie-
go, wraz z innym wodzem najemników, Anba-
rem.

— Czego chce ode mnie ten krwawy,
okrutny morderca? — z zamierającym ser-
cem zapyttywał siebie Aron, nie mogąc ode-
wać zniechęconym w trwodze oczu od
niesamowitej purpury brody, ponad którą gru-
bawe, wcale nie arabskie wargi, układały się
w łagodny, prawie przyjaźny uśmiech.
Khairan zaś ciągnął dalej:

— Niezwykły to był gość. Miał na sobie
krótki, obcisły strój wojownika, odkryty po-
wóyczystą, lśniąca tkaniną, spływającą na
kszałt wąskiej opończy od naramienników
szczerosrebrnej kolczugi do zdobywających spi-
czerosrebrną równie szczerosrebrnych ost-
róg. Rubiny i ametysty zdobyli szczeroszłotą
rękoięś zakrzywionego, krótkiego miecza,
zatkniętego za wielobarwny pas. Z twarzy wy-
dał się Aronowi podobny nieco do Bolesława
Lamberta, — jasnoszare oczy i złotawe brwi
dźwinnie odbijały od ogorzałej na bronz cery.
Złotawe też włosy wynurzały się tu i ówdzie
spod ozdobionego ametystowym polkścieżcem
zawoju, barwy mocno purpurowej, tej samej
barwy, w jaką wymalowana była szeroka i
długa, aż na piers spadająca broda.
— Nazywam się Khairan — rzekł przy-
bysz.

Aron drgnął.

Dobrze mu znane było imię wodza najem-
nych družyn, co od dziesięcioleci siejąc post-
rach wśród chrześcijańskich wrogów kalifatu,
od lat kilku były postrachem także i Arabów
samych, którym służyły. Przecież poprzednie-
go właśnie wieczoru opowiadał Aronowi właś-
nie presbiter chrześcijański, że wojownicy
Khairana zamordowali niedawno potężnego
słyszal Aron przerażającą opowieść o mordzie
okrutnym, dokonanym przed dwoma laty, na
kalifie Mohammedzie al Mahdim, tym samym,
który ongiś ukrzyżował kazał pozabawione gło-
wy ciała Abd el Rahamana Sanczola. I to
właśnie Khairan — ten oto Khairan — tą sa-
mą ręką, którą dotyka teraz powitalnie ust
swoich i czoła, tym samym mozo krzywym
mieczem, jaki zatknęty ma za wielobarwnym
pasem, — osobiście mordercą kalifa Mahdie-
go, wraz z innym wodzem najemników, Anba-
rem.

— Czego chce ode mnie ten krwawy,
okrutny morderca? — z zamierającym ser-
cem zapyttywał siebie Aron, nie mogąc ode-
wać zniechęconym w trwodze oczu od
niesamowitej purpury brody, ponad którą gru-
bawe, wcale nie arabskie wargi, układały się
w łagodny, prawie przyjaźny uśmiech.
Khairan zaś ciągnął dalej:

— Niezwykły to był gość. Miał na sobie
krótki, obcisły strój wojownika, odkryty po-
wóyczystą, lśniąca tkaniną, spływającą na
kszałt wąskiej opończy od naramienników
szczerosrebrnej kolczugi do zdobywających spi-
czerosrebrną równie szczerosrebrnych ost-

FAKTY I KOMENTARZE

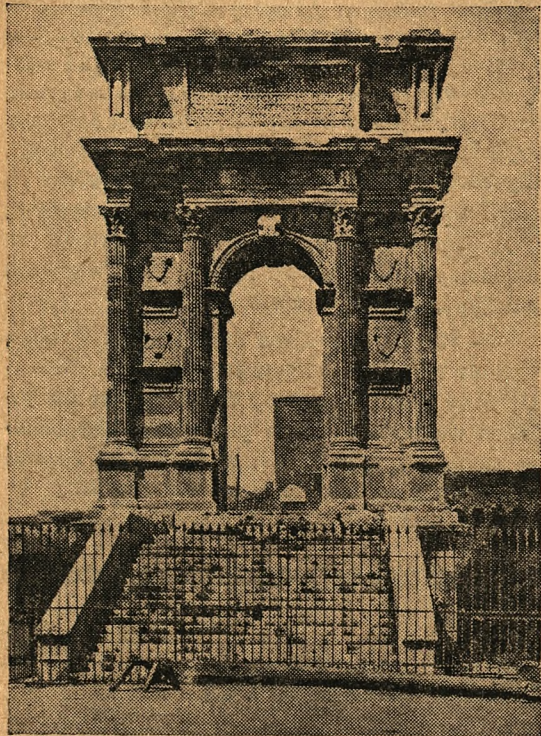
Ankona

Ankona należy do miast włoskich, mających szczególnie dostojną i bogatą historię. Oto podane w najzwięźlejszym skrócie najcharakterystyczniejsze dane zgóry dwutyścioletniej historii miasta.



Ankona : widok ogólny

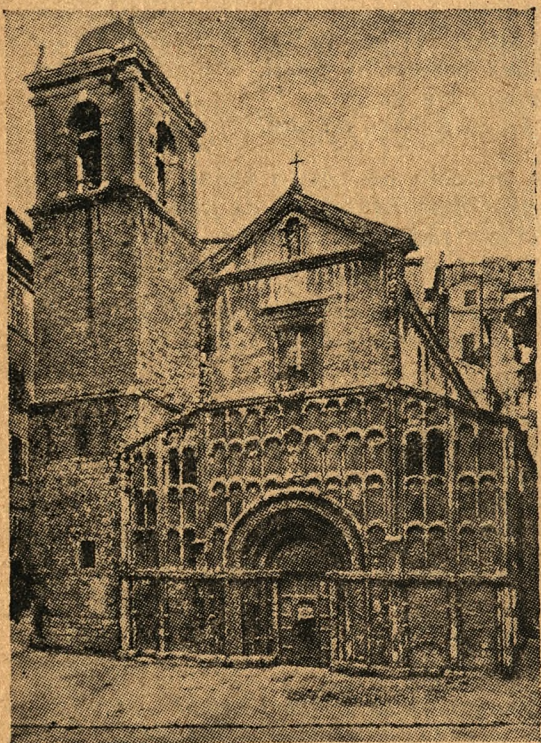
Nazwa Ankony jest pochodzenia greckiego. (ανγκών) Powstała ona z początkiem IV wieku przed Chr. jako kolonia grecka. Jak donosi Strabon, założył ją Dionizy z Syrakuz około r. 390 przed Chr.; ludność jej rekrutowała się z uciekinierów spod władzy tyra-
na



Ankona rzymska : łuk Trajana

syrakuzkiego.

W latach 268—269 przed Chr. Ankona zostaje zdobyta przez Rzymian. Stała się ona ważną bazą morską floty rzymskiej. Cezar ufortyfikował ją w r. 49, po przejściu Rubiko-



Ankona rzymska : fasada kościoła Santa Maria della Piazza.

nu. Sławną była za czasów rzymskich jej świątynia Afrodyty, wspomniana u Katulla i Juwenala.

W r. 539 załoga Ankony odpiera ataki Go-

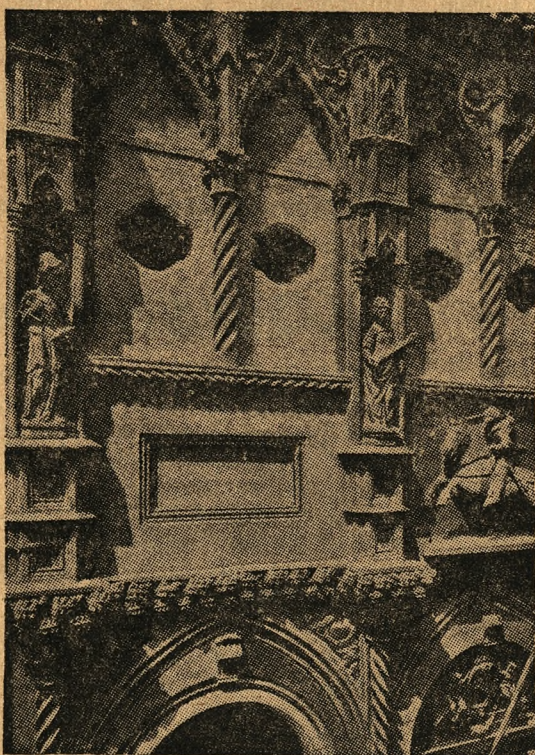
W r. 774 Karol Wielki ofiarowuje ją wraz z egzarchatem raweńskim papieżowi. Odtąd aż do pierwszej połowy wieku XVI Ankona, należąc nominalnie do posiadłości papieskich, cieszy się dużą autonomią polityczną.

W r. 848 miasto zostało zrujnowane przez Saracenów, w r. 917 przychodzi nowy najazd saraceński. W r. 1073 u bram miasta zatrzymuje się inwazja normandzka; w r. 1167 oblegana przez Barbarosę, skutecznie obroniła się przed cesarzem.

W XII wieku Ankona przechodzi na pewien czas pod opiekę cesarzy bizantyjskich. Historię jej w późnym średniowieczu wypełniają dzieje zawziętego współzawodnictwa z Wenecją, kilkakrotnie przeradzającego się w wojny. Jak wiadomo, z wojen tych i zapasów wyszła ostatecznie zwycięsko dużo silniejsza i politycznie, i gospodarczo Wenecja.

W r. 1532 Ankona zostaje wcielona do Państwa Papieskiego. Odtąd na dwa i pół wieku historia jej zlewa się z historią tego Państwa.

Na widownię dziejów wypływa znowu w czasie wojen napoleońskich. W roku 1799



Ankona gotycka : Loggia dei Mercanti (fragment)

zdobytą ją Francuzi i zakładają Republikę Ankoneńską. W roku 1799 Ankona oblegana jest przez Austriaków, Rosjan i Turków. Ostatecznie kapitułuje. W r. 1801 zdobywają ją ponownie Francuzi. W latach 1813—1815 Joachim Murat trzymał ją przy pomocy wojsk neapolitańskich. Zdobyta przez Austriaków, włączona zostaje z powrotem do Państwa Papieskiego.

W r. 1849 wybuchła w Ankonie powstanie. W powstaniu piemonckim 1859 r. w szeregach Garibaldiego znalazło się 800 ochotników z Ankony. W r. 1860 Ankona zostaje włączona do Królestwa Włoskiego.

W historii wojennej wypływa znowu w r. 1915. Od Ankony rozpoczęła się wojna włosko-austriacka. Dnia 25 maja o godzinie 3 rano duża eskadra floty austriackiej rozpoczęła bombardowanie portu i miasta. Bombardowanie, które trwało dwie godziny, wyrządziło miastu duże straty. Uszkodzono wtedy m. in. katedrę.

Dnia 18 lipca 1944 r. Ankona została zdobyta przez oddziały Drugiego Korpusu Polskiego. Na cytadeli Ankony zatknięto polski sztandar.

krajami i ma się składać z walut poszczególnych krajów, wniesionych przez rządy. Porzuciona została pierwotna myśl opłacania części udziałów w złocie. Każdy kraj będzie mógł pokrywać czasowe deficyty w swoim bilansie

płatniczym, zakupując potrzebne na to waluty w funduszu w zamian za swoją walutę, która znowu z kolei będzie mogła służyć innym krajom dla ich wydatków.

Z punktu widzenia techniki bankowej projekt oznacza utrzymanie systemu wypłat, stosowanego przed wojną i znanego w krajach europejskich jako system waluty dewizowo-złotej. Rezerwy dewizowe zastępowały w tym systemie rezerwy złotą i używane były zarówno dla pokrycia obiegu pieniężnego, jak i do wypłat zagranicznych. Obecny system różni się będzie tym, że rezerwowi fundusz dewizowy trzymany będzie nie w bankach centralnych, lecz w międzynarodowym funduszu stabilizacyjnym.

Duże znaczenie ekonomiczne ma zarówno ogólna wysokość funduszu, jak i kwoty, przyznane poszczególnym krajom. Pierwotnie prelimitowaną ogólną sumę 8 miliardów dolarów zwiększono na konferencji do 8,8 miliardów dolarów, a pewną niespodzianką jest rozdział tej sumy na kwoty poszczególnych krajów. Kwota Stanów Zjednoczonych — 2,750 milionów dolarów jest przeszło dwukrotnie większa od kwoty Wielkiej Brytanii. Przyznanie Stanom Zjednoczonym tak wysokiej kwoty było jednak jedynym sposobem uzyskania dla funduszu odpowiedniej ilości dewiz dolarowych, t.j. tych właśnie, które będą najbardziej poszukiwane po wojnie. Drugą niespodzianką jest wysoka kwota, przyznana Rosji, wynoszą-

ca 1,2 miliarda dolarów. Tak wysoka rezerwa walutowa nie jest uzasadniona obrotami rosyjskiego handlu zagranicznego przed wojną, i możnaby ją raczej uważać za zaproszenie Rosji do zwiększenia swego handlu zagranicznego po wojnie. Kwota przyznana Polsce — 125 milionów dolarów, jest wyższa niż rezerwa złota Banku Polskiego w ostatnim bilansie przed wojną (445 milionów złotych). Nowo tworzone rezerwy dewizowe funduszu stabilizacyjnego będą uzupełnieniem rezerw złotych i dewizowych, posiadanych dziś przez banki centralne. Tym może należy tłumaczyć stosunkowo niską kwotę, przyznaną Francji (450 milionów dolarów), która zachowała w pełni swoją rezerwę złotą, ocenianą na 2 miliardy dolarów. Nie ujawniły swojej rezerwy złotej Sowiety, co spowodowało nawet pewne zahamowanie prac konferencji.

Funkcjonowanie systemu wypłat, zarysowanego na konferencji w Bretton Woods, zależy będzie głównie od tego, czy po wyczerpaniu się pierwotnej rezerwy dolarów Stanów Zjednoczonych (2,750 milionów dolarów) można będzie rezerwę tę utrzymywać stale na dość wysokim poziomie przez dalsze wpłaty amerykańskie, czy to jako kredyty dla Europy, czy z tytułu zapłaty za import do Stanów Zjednoczonych. Ponieważ jak dotąd bilans handlowy Stanów Zjednoczonych był silnie dodatni, cały ciężar przesunął się na rolę Ameryki jako wielkiego wierzyciela świata.

Międzynarodowy Bank Inwestycyjny

Uzupełnieniem prac nad powojennym ustrojem monetarnym było obranie specjalnej komisji, opracowującej projekt umowy o Międzynarodowym Banku Inwestycyjnym. Sytuacja wielkich państw świata po tej wojnie będzie taka, że nie wystarczy przyznanie pewnej ilości „kapitału obrotowego”, czyli płynnych rezerw pieniężnych. Potrzeba importu będzie tak silna, a zdolność eksportu tak mała, że w ciągu kilku miesięcy nastąpiłoby zupełne wyczerpanie przyznanego kwoty i wszystkie problemy na nowo. Charakter tego popędu na kredyt będzie typowo inwestycyjny, prawie wszystkie kraje europejskie będą musiały odbudować wyposażenie swego przemysłu, rolnictwa i systemu komunikacyjnego, a na to właściwy jest tylko kredyt długoterminowy. Projektowany system pieniężny będzie mógł tylko wtedy sprawnie funkcjonować, gdy potrzeby inwestycyjne będą zaspokojone w inny sposób, a kwoty monetarne będą się używać wyłącznie do transakcji bieżących, tak ukształtowanych, aby bilanse płatnicze poszczególnych krajów były zrównoważone. Nieuniknione po tej wojnie deficyty płatnicze wielu krajów muszą być sfinansowane kredytami długoterminowymi i projekt Międzynarodowego Banku Inwestycyjnego jest nową metodą uregulowania przypływu kapitałów do krajów, potrzebujących ich. Kapitał inwestujący się po zostanie nadal prywatny, bo żaden z rządów reprezentowanych w naradach, z wyjątkiem Sowietów, nie jest właścicielem kapitałów istniejących w kraju, lub powstających drogą oszczędności. Międzynarodowy Bank ułatwiać będzie przepływ potrzebnych kapitałów, udzielając gwarancji kredytowej, przy czym każdy z rządów obejmie odpowiedzialność z tytułu tych gwarancji do określonej wysokości. Gwarancje Banku mają zmniejszyć ryzyko wierzycieli, którymi będą głównie obywatele amerykańscy, kupujący obligacje. Zmniejszenie ryzyka ob-

niży stopę procentową, a korzyści tego nie trzeba nawet przypominać, bo pamiętamy dziś jeszcze wysoko oprocentowane pożyczki amerykańskie, zaciągane na odbudowę po pierwszej wojnie światowej, z drugiej zaś strony inwestująca publiczność amerykańska ciągle jeszcze pamięta i wypomina krajom europejskim zawieszenie wypłat procentów i amortyzacji tych pożyczek. Gwarancje Banku Międzynarodowego mogą więc być ważnym, a może i niezbędnym czynnikiem, przywracającym zaufanie pomiędzy wierzycielami amerykańskimi a zadłużającą się Europą. Pożyczki mają być udzielane na cele produktywne, tak aby rentowność inwestycji była gwarancją ich spłacenia, i tylko takie kredyty mogą znaleźć poparcie na prywatnym rynku kapitałowym. Te zaś kredyty, które są tylko pośrednio rentowne, jak np. rozbudowa sieci drogowej, mają być finansowane pożyczkami państwowymi, zaciąganych bezpośrednio w Banku Międzynarodowym. Ogólna wysokość tych kredytów wynosić ma 20% całkowitej sumy, reszta, t. j. 80%, ma pójść na gwarancje, udzielane pożyczkom produkcyjnym. Trudno dziś przewidzieć, czy ogólna suma około 10 miliardów dolarów wystarczy na najpilniejsze potrzeby odbudowy zniszczonej wojennych. Po pierwszej wojnie światowej, w ciągu pierwszych dwóch lat (1919 i 1920) import kapitału do Europy osiągnął sumę 6,7 miliardów dolarów obecnego paritetu, z czego 4 miliardy dolarów kredytów długoterminowych, a prawdziwa akcja reinwestowania Europy zaczęła się dopiero później. Zapotrzebowanie kapitałowe Europy będzie po tej wojnie znacznie większe i sumy takie ustalone mogą się okazać niewystarczające. Szybkie przywrócenie zaufania w inwestycjach międzynarodowych może okazać się tak skuteczne, że przypływ dalszych kapitałów nie będzie potrzebował dodatkowych gwarancji.

ADOLF BOCHENSKI

Żyjemy w czasach tak szybko zmieniających się pojęć, gdy tyle zasad i poglądów, które uważaliśmy za stałe, runęło czy spłynęło w naszych oczach, gdy tyle nieszczęść zbiorowych przesłania nam losy jednostek, że wartość życia ludzkiego wydaje się nam czymś małym, nieważnym.

W zgiełku wojennym popełnia się często błędy złej oceny sił własnych i wroga. Złe liczy się także straty.

Ani wojna, ani nawet rewolucje nie zmieniają faktu, że wartość życia jednostek dla narodu i państwa jest nierówna, że są życia ludzkie, których wysiłek jest łatwy do zastąpienia, są inne, których strata równa się stracie batalionu, pułku czy dywizji. Bo podstawą bytu każdego państwa i warunkiem życia duchowego każdego narodu jest istnienie tych zawsze tak nielicznych jednostek twórczych, których myśl wprawia w rytm umysły milionów.

W Polsce indywidualność twórcza była zawsze nisko ceniona. Naród polski wyżywał się w różnych „izmach”, powtarzał łatwe, utarte formułki, podziwiał i wysoko wynosił spryt, a jednostki twórcze znajdowały zwykle uznanie dopiero po śmierci. W szczególności w czasie dwudziestolecia istnienia niepodległego Państwa Polskiego oglądać było można liczne objawy tryumfu półinteligenta nad ludźmi pracy twórczej.

Adolf Bocheński był jednym z przedstawicieli tragicznego pokolenia, które wzrastało i kształciło się w Polsce Niepodległej, cały wysiłek skierowało na przygotowanie się do udziału w kierownictwie sprawami państwowymi i nigdy przez żaden reżim do tego udziału nie było dopuszczone.

Wieniawa-Długoszowski pisał kiedyś, że

są dwa szlachetne zajęcia: pisanie książek i rzemiosło żołnierskie. Całe życie Adolfa Bocheńskiego wypełniły te dwa właśnie zajęcia.

Nie czas dzisiaj pisać o jego poglądach politycznych, w czym miał rację, w czym się mylił. Jedno jest pewne, że jeśli się mylił — to mylił się na poziomie. To jest: poglądy jego wynikały z toku myślenia, samodzielnego myślenia, a nie powtarzania truizmów czy kradzenia myśli innych. Drugim pewnikiem jest, że Adolf Bocheński jak mało kto w Polsce znał i odczuwał dzieje polskiego wieku XIX i ciągłość dziejową Polski. Stąd zrozumienie przez niego faktu, że linia polityki polskiej iść musi, zawsze po jakiejś wypadkowej każdorazowego układu sił realnych i dążności do zachowania polskich imponderabiliów.

To dla tych imponderabiliów walczył przez cały czas wojny na wszystkich frontach w Polsce, pod Narvikiem, we Francji, pod Tobrukiem, pod Monte Cassino. Za kampanię libijską odznaczony został Virtuti Militari. Zginął pod Ankoną. Z ręką na temblaku wskutek odniesionej pod Monte Cassino rany szedł rozładowywać pole minowe. Unieszkodliwił parędziesiąt min, gdy wyleciał w powietrze na pułapce.

Zginął jak żył: w szlachetnym poczuciu spełnianego obowiązku. Zginął w drodze do Polski, do swej Ponikwy, od której Go już żadne linie graniczne nie oddziela. Zginął, jak tytu przedtem i tytu zapewne po nim w tej wspinał się ciągłości idei, której na imię: Polska. I tylko żal serce ścisła na myśl, jak wiele możliwości, zawartych w krwi polskiej, wsiąka w piasek całego świata, jak marnują się młode życia, przedtem nim mogły dać się siebie choć część swego bogactwa.

bł.

Konferencja w Bretton Woods

Po trzytygodniowych obradach eksperci, reprezentaci rządów Zjednoczonych Narodów, uzgodnili projekt międzynarodowego funduszu stabilizacyjnego. Fundusz ten ma służyć do wyrównywania obrotów płatniczych między

ALEKSANDER SCHORR

EGGA VAN HAARDT

Perspektywa z lotu ptaka

W powieści „Wychowanie pod Verdun” Arnold Zweig stwierdza: „Szyby z mikroskopijnymi wagonami i kontury dachów... tworzą na fotografii zabawne przybliżenia jako wynik rzutu z perspektywy lotu ptaka. Rzut ten narzuca kreślarzowi map drzemące możliwości dziewczycy, niezbadanych dotąd praw. Lecz malarstwo z nich nie skorzysta...”

Zweig się omylił. Malarstwo skorzystało z okazji, jak z wszystkiego, czego dotknie się

na z jej płomiennymi obrazami olejnymi. Udowodnia, że nawet tłusty ślad na jasnym tle może stanowić motyw sztuki. Że szlachetne współzawodnictwo linii i cieniów nie wymaga palety. Fakt, że Egga v. Haardt umie dowolnie kierować ogniem rozłożonych kolorów, tworząc równocześnie odbarwione rysunki stearyną, rozszerzając nieograniczenie rozmiar swego dzieła, stawia ją poza jakimkolwiek porównaniem. Jest ona samotna i dobrze jej z tym.



Egga van Haardt na tle swej pracowni

dłoni artysty, gdy szczęście nadarzy chwilę twórczej przygody. Egga van Haardt pierwsza bodaj wprowadziła do sztuki powszechnej kąt patrzenia i malowania z lotu ptaka, z samolotu. Wyzwoliła źródło zadziwiających skrótów, jako konsekwencji zbliżenia oka do bryły w dowolnych kierunkach, z dowolnymi odchyleniami, naprzekór zużytem szablonom, rozszerzając przez to pole pospolitego widzenia. Zademonstrowała, jak wygląda normalnie i logicznie przerost głowy, owej kopuły postaci ludzkiej, kosztem skróconych nóg i tułowia („Idąca”, „Modelka”), noga, wyolbrzymiona kosztem głowy i korpusu („Siesta”, „Kobieta”, „Leżący”), — skrót kończyn i głowy na potężnym grzbiecie („Zaduma”, „Odpoczynek”).

Na tropie nowych form

Zaczynam od ceramiki, która poza znaczeniem praktycznym kryje urok wielorakiej wartości. Spowita w tęczę barw, zaspokaja pozorze tylko głód zmysłu estetycznego. Kto naruszy powierzchnię jej pospolitego znaczenia, obnaży łożysko symboliki Eggi van Haardt.

Analiza jej ceramiki wykazuje efekt malarsko-wrażliwy, grę czynników materialnych, rzeźbę znalezionej formy, zrównanej zresztą we współczynniki dzieła. Kompozycje o nieomylnie spójni i pewności rysunku, organiczne powiązanie szarmonizowanych płaszczyzn. A wreszcie symbolikę, towarzyszą nową formę, niezależną od woli, a może i świadomości artysty.

Zasady konstrukcji twórczości E. v. Haardt, podane wyżej, są tak stopione w tygłu całej jej sztuki, że łączą jej plastykę z grafiką czarno-białą po przez malarstwo.

„Maski śmiechu” fascynują czułością na światło, zmysłowością rzeźb antycznych, rodzinową grozą niesamowitej głowy „Balsaka”, wykładem sensu życia na zmarszczkach twarzy.

Egga v. Haardt jest typem rzeźbiarza, który najlżejsze odchylenie wzroku do bryły zaklina w nową treść, pojmując świat płaszczyznami. Jej traktowanie twarzy ludzkiej jest niemal policzkiem, wywlekaniem na światło dzienne takich tajemnic miłości własnej, jakich chętnie nie publikujemy.

Nowy wyraz przez nową technikę

Egga van Haardt rozpoczęła swą twórczość od hieroglifów czarno-białych. Ich tekst charakteryzuje nieskazitelną nieprzerwaną konturów i melodyjne falowanie plam, wzruszające pięknem abstrakcji. Znajdujemy w nich potwierdzenie sprzeczności i krańcowości dynamiki Eggi v. Haardt, oscylującej między szaleństwem a zadumą, między światłością jej kolorystyki, a pokutą bezbarwnych szkiców parafiną.

Rysunki parafiną Eggi v. Haardt (technika jej wynalazku) są przykładem udanego eksperymentu w poszukiwaniu odrębnej ekspresji. Zapewne są także sprawdzianem artystki, czy potrafi wyłuskać akcent oryginalny z najbliższej szarzyzny, jaką jest chyba z punktu widzenia optyki tłusta plama na białym papierze. Grafika ta, pozbawiona sugestii barwy, pozwala uznać raz jeszcze nieomylnie władanie linią i formą, nietylko ambicję przewyciężenia kolorów i siebie. Grafika ta jest również dokumentem wiecznego łowcy przygód. Prostota tej techniki jest wręcz sprzecz-

Grafologia, sprawdzian autentyczności

Malarstwo Eggi van Haardt jest wieloznaczne. Analityk, który rozważa elementy składowe jej obrazów: rysunek, kompozycję, stosunek płaszczyzn, skrótów perspektyw i logikę tonacji, musi pamiętać, że stanowią one całość, jak członki jednego organizmu.

Pominąłem dotąd fakturę E. v. Haardt, niezależny od wyboru, zdeterminowany charakter jej pisma. Artysta nie jest panem kaligrafii swego stylu. Nie może go bezkarnie wzorować na cechach kolegów. Ornamentalne pierścienie pisma E. v. Haardt oplatają granice pól na mapie obrazów w zupełnie oryginalny sposób. Pismo to tak dla niej charakterystyczne jest marką fabryczną wszystkich rodzajów jej rozległej twórczości. Pozostanie dla grafologa łatwym sprawdzianem autentyczności przeważnie niepodpisanych dzieł.

Instynkt samozachowawczy podyktował artystce właściwy sposób ocalenia przed zgubą maniery, przez mnożenie skali zainteresowań; karcowanie zaśniedziały nawyków we wszystkich dziedzinach plastyki; nieustanne łamanie oporu coraz to nowego materiału w nowy sposób — dając tym ujście bujnej żądzy tworzenia.

Śledząc w jej dziełach znamiona jej pisma: w płaskorzeźbach ceramiki, w bajecznie kolorowych płótnach, w rokokowych ozdobach impresyj architektonicznych, w sepiowych groteskach sztuki czarno-białej czy w przejrzystych rysunkach woskowych — stwierdzamy, że Egga van Haardt osiągnęła marzenie każdego artysty: przepoiła swe dzieła własnym stylem.

Analiza kolorystyki

Genezę odkrycia alchemii barw zasadniczych artystki są ustalenia Delacroix, który — jak wiadomo — rozróżnił dwie klasy podstawowych tonów przyrządu: pierwotne, których nie da się osiągnąć przez mieszanie: żółty, czerwony i niebieski, — oraz pochodne, będące mieszaniną poprzednich: zielony — połą-

czenie żółtego i niebieskiego, fiolet — połączenie czerwieni z niebieskim, oraz pomarańczowy — związek żółtego z czerwonym. Odpowiadają im trzy pary kontrastów (dające najsilniejsze nasycenie koloru za pomocą przeciwstawienia innego koloru): niebieski z pomarańczowym, żółty z fioletowym oraz czerwony z zielonym.

Impresjoniści i dywizjoniści wymyślili wszystkie ziarna tej teorii i, zda się, wypowiedzieli ostatnie jej słowo, chodząc w kierunku jej zakłętę kręgu, dopóki nie rozerwali go „fauve’iści”, odrzucając — jako bezużyteczny.

E. v. Haardt zapożyczyła i ożywiła te koncepcje pulsem świeżej emocji, odświeżając w swym malarstwie dalekie widnokręgi, i naruszając piąty z kolei — obok jarzma perspektywy spleśniałych form, skostnienia techniki i piętna faktury — bastion niewoli konwenansów. Własne tonacje dyktowała jej wewnętrzna potrzeba, pierwotnie bez troski o uzasadnienie teoretyczne. Do oprawy jej w pierścień systemu doszła drogą dedukcji, przez przeoranie ugoru wyjąłowej już spuścizny Delacroix. Trudno w ramach artykułu zreferować szczegółowo tok rozumowania Eggi v. Haardt, chociaż treść jego byłaby niezmiernie ciekawa dla malarzy i fachowców. Zaakcentuję więc tylko esencję tego odkrycia, w poczuciu konieczności jego utrwalenia, jako rozwiązania zagadnień kolorystycznych niepośredniej miary i jako przykładu rewolucyjnej postawy Eggi v. Haardt.

Punktem wyjścia jej teoretycznych wywodów jest fakt, że kolor czerwony mieści się w połowie w pomarańczowym (mieszaniu czerwonego i żółtego) i w połowie w fiolecie

oraz z ich syntezą — zielenią. Stąd akord fioleto, pomarańczowego i zielonego jest trioletem barw, podniecających wzajemnie swój blask, czyli kontrastowym. Wykazała to Egga v. Haardt w swej „Sjeście”, której czyste barwy tęczy są brawurowym eksperymentem udanego szarmonizowania kadmu głowy i stóp, zawieszego między jasno-cytrynowym, pomarańczowym i karminem — chromoksydem ubrania, łamanym ultramaryną, kobaltem i żółtym na tle fioleto.

W „Portrecie własnym w chińskim kapeluszu” fioletowa wstęga na pomarańczowym kapeluszu podnieca szmaragdowe tło, zaprawione kadmem (odpowiednik koloru pomarańczowego kapelusza, podsycającym fiolet wstęgi) i kobaltem (odpowiadającym fioletowi wstęgi, a podsycającym pomarańczowy kolor kapelusza). Jest to kontrast łączących płaszczyzn, przenikający podwójnie te same pola (fioletu i pomarańczy contra zieleni, kadmu contra fioletowi, kobaltu contra pomarańczowemu).

Nasycenie to potęgowała Egga v. Haardt kontrastem trzecim: czerwienią sukni, przechodzącą od aksamitu laków, przez purpurę zachodu do odcienia łososiowego, oraz zielenią tła i czwartym kontrastem: tej samej czerwieni z fioletem i kolorem pomarańczowym, połączonymi na kapeluszu i wstążce. Takie spiętrzenie efektu wyjaśnia płomienne walory tego płótna.

Zieleń kontrastuje z położonymi obok fioletem i kolorem pomarańczowym. Zatem także ich szachownica, rozszczepiona na pola niebiesko-czerwone i żółto-czerwone, tworzy kontrast z zielenią. Kombinacje te dostrzegła Egga v. Haardt na polichromii niektórych



EGGA VAN HAARDT:
Kompozycja

(mieszanie czerwonego i niebieskiego). Po odczuciu od nich czerwieni, z pomarańczowego pozostaje kolor żółty, z fioletowego — niebieski. Kolory żółty i niebieski dają zieleni, optyczny kontrast czerwieni, której stosunek do reszty kolorów przyrządu przedstawiamy jako przykład odkrywczych badań E. v. Haardt.

Skoro w fioletowym i pomarańczowym mieści się zieleni (rozszczepiona na żółty i niebieski), optyczny kontrast czerwieni, wobec tego stanowi ona wraz z zespołem fioletowego i pomarańczowego pierwszą parę kontrastów rozumowych Eggi v. Haardt. Kontrastem optycznym fioleto jest żółty, pomarańczowego — niebieski, zatem pola fioleto i pomarańczowego kontrastują także z przeciwstawnymi polami żółtego i niebieskiego,

rzeźb egipskich i amfor kreteńskich. Skoro kontrastem zieleni jest obok położony akord fioleto i koloru pomarańczowego, fiolet kontrastuje z żółtym, a pomarańczowy z niebieskim, to obok położone płaszczyzny żółte i niebieskie kontrastują z zielenią, pomimo że wchodzą w jej skład. A nadto z czerwienią, jako kontrastem zieleni. Stąd rozumowe uzasadnienie akordu Tycjana.

Najciekawszą dedukcją systemu Eggi v. Haardt jest obraz, zbudowany na elementarnym akordzie zieleni, skonstruowanej z swymi pierwiastkami niebieskim i żółtym, według identycznej zasady iloczynu zieleni i czerwieni, choć jako wykładnik odmiennego nastroju („Widz”).

Ten rzut oka na magię barw Eggi v. Haardt, przedstawiony tu w najsurowszym zarysie, daje skąpy pogląd tego jak potrafiła przemienić wyschłe źródło powinowactwa zasadniczych kolorów przyrządu w krynicę niewyczerpanego bogactwa.

Analiza podstaw tworzenia

Tylko powierzchnia życia artysty jest dostępna makrom obcej świadomości. Istotę jego usiłujemy poznać na podstawie obserwacji jego pracy i zachowania. Nie kładę kabały E. v. Haardt. Nie wróżę jej, jak wyraźne ślady sztuka jej wyżyłoby na ziemi. Zestawiam tutaj szereg jej właściwości, na pozór niezwiązanych, może chwilowo niezrozumiałych, może dziwacznych i sprzecznych, by na ich zasadzie zaanalizować typ jej twórczości.

W ubogim swym laboratorium artystycznym Egga v. Haardt pchnęła sztukę w pięciu kierunkach, na podbój skrótów, formy, techniki, stylu i koloru. Z tego malarstwo zyskało najwięcej przez zdjęcie bielma z przesądów perspektyw oraz pobudkę do reformy form i układu barw.

Oblicze tej sztuki, której barwy brane są słońcu, a perspektywy ptakom, darzy nas wiarą, że oślepy świat doczeka zbawienia świtu.

*) Reprodukowanym w nrze 7 (25) „W Drodze” z 1 kwietnia b. r.

Najbliższy numer „W Drodze” poświęcony będzie Libanowi i stosunkom polsko-libańskim.

Numer przyniesie m. in. następujące artykuły:

X. Kamil Kantak: Kraj bogów i sekt,

Bohdan Łączkowski: Liban — Polska,

O. Périgrin-Malinowski: Słowacki na Libanie,

Witold Rajkowski: Hasbaya — siedziba książąt Szehab,

Lesław Rencki: Radio Bejrut—ostatnia mowa Premiera,

Stanisław Weinberg: Między Stambułem a Florencją.

oraz rysunki:

Liban oczyma Feliksa Topolskiego.

Numer ten ukaze się w sprzedaży dnia 10 sierpnia.

Poezje Kazimierza Wierzyńskiego

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze” ukaże się w najbliższym czasie drugie wydanie tomu wierszy Kazimierza Wierzyńskiego „Róża Wiatrów”. Wydanie pierwsze ukazało

się w New Yorku nakładem Wydawnictwa „Rój in Exile”. Wyjmujemy z tomu kilka wierszy.

ŚMIERĆ NOCNA

Budzę się w nocy. Czarna mgła
Przez uszy krętym cieknie szumem.
To czas mnie mija, czas mnie pcha,
Tkniętego śmiercią, bezrozumem.

Lodem przekłuta ostry ziąb,
Kra spod sufitu głowę trąca,
Czuję, jak cierpnę i jak głąb
Wysysa mnie zamraczająca.

Jak to już długo? Odkąd trwa
Wieczność, na krótkie spięta mglenie,
Nieprzemieniony szum i mgła
I jak to męczy nieskończenie.

He to lat już? Kto tu kłął
I płacze woskiem po łodydze?

Paznokcie rosną mi u rąk
Przydługie. Końca ich nie widzę.

Odrąćcie mnie! Weź prostą żerdź
I pchnij topielca na głębiny.
W nurt ostateczny, w pełną śmierć,
Na wznak, bez ruchu niech popłyne.

Bo jak ratować się? Chcę wstać
I krzyczeć stąd, ze środka rzeki.
Noc, trumna zwłok mych, ciasna kadź
Ciężkie zakleja mi powieki.

Zaspiałem znowu. Wracam w śnie,
Odwrótnie, wstecz, do źródła płynie.
Rano się pytam: Byłem? Gdzie?
Wracam — czy uchodzę na głębiny?

WILGA

Gwizdnęła wilga, poskakała boso
Przez młody powój zaplątany w chróst,
I posypało się po krzakach rosą:
Plakom zawsze wesoło koło śpiewnych ust.

I odleciała, popłynęła mgliście,
Patrz, przez gałęzie ledwie widać jak

Majową nutą tłucze się o liście,
W powietrzu sieje skrzydłem pożegnalny znak.

Zbieraj się w drogę. Spiesz się, moja miła!
Trzeba nam lecieć w ten błękitny gąszcz,
Wiosna ucieka, spod nogi się spłoszyła.
Malutki za nią frunął duszek maja, chrząszcz.

PODJUDZANIE KSIĘŻYCA

...to dla Juljety
I dla Romea Iza ta znać planety
Norwid

Nuż, wysoki! To za nisko.
Wyżej nam piąć się, górniej, stromiej!
Płonącą głową nad urwisko,
Nad noc, nad świat, w księżycowisko!
To nas dopiero oszołomi.

W bezmierną przestrzeń rzuc swem okiem,
Bez lęku, stary! Jednym skokiem
Mijaj ten czerep tysy, ziemię.
Nad zbiegowiskiem chmur, nad mrokiem
W bezmierną przestrzeń rzuc swym okiem,
Dalekowzroczny polifemie.

Gdzież twoja broń promieniejąca,
Tarcza ognista! Dziś w nią stuka
Byle kiep rymem i z miesiąca

Wyświeca blaski, gwiazdy strąca
Do strof garściami, u kaduka!

I cóż ty na to? Snać zbyt łatwo
Dostępna wszystkim twa potęga,
Gdy somnambulik w śnie, włóczęga,
Jak po drabinie, idąc w światło
Znad grymsu ręką cię dosięga.

Ongi na pułap wchodząc boski,
Kropkę nad „i” stawiałeś ziemi,
Książę ciemności i alchemii...
Poświęć nam, wnuku mussetowski,
Nocami znów romantycznymi.

Wyżej się wspinaj. Zarzuc sznury
Na krokwie świata. Znad planety
Niech jeszcze raz się iza poety
Potocz deszczem gwiazd u góry,
Eza dla Romea, dla Juljety.

INTER ARMA

Muzo! Nie lękaj się hałasu broni
I bitewnego nie unikaj szcęką,
To nic, że lira, gdy podchodzisz do niej,
Pęka śród jęku.

Bij w struny! Boskość cię do nich zaprzęga,
Piorun do ręki podała panińskiej,
Jeśli pieśń przetrwa, będzie niedosięga
Nad wiekiem kłęski.

Powróć nam wiarę, iż echem dalekiem
Moc się z natchnienia w narody przemycą:

Chcę, aby rzymskim karmiła nas mlekiem
Ziemia Wilczyca.

I pozwól także na chwilę tej ciszy,
W której powraca, co żyło w nas przedtem,
O tem pod wieczór, gdy nikt nie usłyszy,
Zagadaj szeptem.

Pozwól nam jeszcze, niech każdy się przyzna
Do łez, rozpaczy i skrytej słabości,
Zgromadź nas wszystkich, jak zbiera ojczyzna
Prochy i kości.

PRZYWIDZENIE

Tu są nazwy: Pirapora,
Sabará i Ouro Preto,
Mógłbyś na nich do wieczora
Jak na skrzypcach grać, poeto.

Z samej mapy, z fotografii
Kraj ten, garść sennego szczęścia,
Czarodziejsko snuć potrafi
Urzeczenia i zaklęcia.

Spójrz, ten barok na kościele,
Fryzy w odrzwiach, kropielnica,

Jak się miękko łukiem ściele,
Wiąże w koła i zachwycą.

Wieżom przypatrz się, kopule,
Frontonowi, jaki zdobny...
Jużes zgadł, wspominasz czule,
Wiesz do czego jest podobny?

Pytasz, gdzie ta ziemia, czyja? —
Natarczywie i usilnie...
Spójrz na napis: to Bahía,
A tyś myślał — wiem — o Wilnie.

KTOKOLWIEK JESTEŚ BEZ OJCZYZNY

Ktokolwiek jesteś bez ojczyzny,
Wstąp tu, gdzie czekam pokrywom:
W ugornej pustce jałowizny
Będziemy razem nie mieć domu.

Kto się zapatrzył w tamte strony,
Gdzie dotąd niebo nocą ciemną
Od łuny drży nieugaszonej,
Niech w noc tę głębiej idzie ze mną.

Komu się śnią włózione kości
Przez psy na polach, gdzie rozpaczą

Brzozy odarte jeszcze płaczą,
Niech mi to wyzna w samotności.

Bo z mgieł jesiennych, przez ścierniska,
W badyłach, perzu, kłębem pnączy
Szept jakiś z trudem się przeciska
I w samo serce, w krew się sączy.

Bo nie ma ziemi wybieranej,
Jest tylko ziemia przeznaczona,
Ze wszystkich bogactw — cztery ściany,
Z całego świata — tamta strona.

ZBRODNI WOJENNE

Zenon Goryński, Zbrodnie wojenne. Szkic prawn. Jerozolima, 1944. Str. 128.

W historii prawa międzynarodowego dzień 31 marca 1943 r. jest datą wielkiej wagi.

W dniu tym ogłoszony został akt wewnętrzno-państwowy, po raz pierwszy w dziejach narodów i wojen regulujący sprawę zbrodni wojennych w oparciu o normę prawa międzynarodowego. Aktem tym jest Dekret Prezydenta Rzeczypospolitej o odpowiedzialności karnej za zbrodnie wojenne.

(Przełomowe jego znaczenie polega na samej definicji zbrodni wojennej, określonej w dekrete jako działanie podczas wojny na szkodę Państwa Polskiego, polskiej osoby prawnej lub obywatela polskiego — wbrew normom prawa międzynarodowego).

Z wielu możliwych rozwiązań prawodawca polski wybrał najbardziej nowoczesne, najodważniejsze i — najtrudniejsze. Zważywszy dobrze: nie każde działanie na szkodę Państwa Polskiego, polskiej osoby prawnej lub obywatela polskiego będzie przestępstwem z Dekretu Prezyd. (może być w pewnych warunkach przestępstwem z Kodeksu Karnego lub innych ustaw polskich), — pod przepisy Dekretu podpadać będzie ono jedynie, gdy czyn gwałci „normę prawa międzynarodowego“.

(Pojęcie „normy prawa międzynarodowego“ nie jest zależne od polskiego ustawodawcy. Trzeba go szukać w traktatach, w konwencjach, w zwyczajach, w doktrynie i praktyce prawa międzynarodowego).

Ustawodawca polski wyrzeka się niejako części swej władzy ustawodawczej na rzecz społeczności międzynarodowej, dając swą sankcję przepisom, których sam nie stworzył. Ustawodawca poleca sądowi karnemu operować pojęciem normy prawa międzynarodowego i stwierdzać w każdym wypadku, czy czyn był zgodny czy sprzeczny z tą normą. Dla podkreślenia novum tego ujęcia wyjaśnijmy, że gdy pod koniec pierwszej wojny światowej Francuzi przystąpili do sądenia żołnierzy niemieckich za przestępstwa wojenne, popełnione na terenie północnej Francji, stosowali po prostu francuskie prawo karne. Rosjanie w niedawnych procesach o zbrodnie wojenne („proces „charkowski“ i inne) oparli wyroki skazujące na specjalnie wydanej ustawie z 19 kwietnia 1943 r. Tekstu tej ustawy i przyjętej przez nią konstrukcji zbrodni wojennych nie znamy. Z głosów prasy rosyjskiej dowiadujemy się, że doktryna sowiecka¹⁾ stara się ustawę z 19 kwietnia powiązać z konwencją genewską z 1929 r. o jeńcach wojennych, mianowicie z jej art. 29, który przewiduje, iż państwa umawiające się w razie potrzeby uzupełnią swe przepisy karne, tak by mieć możność ścigania podczas wojny czynów, sprzecznych z postanowieniami konwencji.

Kwestią interpretacji powołanego przepisu nie będziemy się zajmować. Wydaje się, że nie popełnimy błędu, jeżeli przyjmemy, że 1) ustawa sowiecka w tekście swym nie wiąże definicji zbrodni wojennej z normą prawa międzynarodowego, 2) prawnicy sowieccy uzasadnienie dla wydania ustawy widzą nie w normach prawa międzynarodowego (których należy szukać we wszystkich konwencjach, zwyczajach i traktatach), lecz w formalnym przepisie jednej szczególnej konwencji.

Jak mówiliśmy, Dekret Prezydenta oparł samą definicję przestępstwa o normę prawa międzynarodowego. Od tego tedy, czy uda się tę normę oznaczyć z pożądaną ścisłością, zależy praktyczna możność stosowania dekretu.

Pracę Zenona Goryńskiego p. t. „Zbrodnie Wojenne“ możnaby określić jako próbę udowodnienia, że norma prawa międzynarodowego jest pojęciem ścisłym i uchwytym, że daje się ona oznaczyć z dokładnością, wystarczającą do wyrokowania.

Praca Goryńskiego składa się z dwóch części: teoretycznej, przedstawiającej historię doktryny prawa międzynarodowego, oraz praktycznej — komentarza do polskiego dekretu.

Historia doktryny sięga zarania prawa międzynarodowego, — nauki kanonistów i teologów średniowiecza. Doprowadzona jest do czasów najnowszych, podając głosy wybitnych praktyków współczesnych i dyskusje w angielskim parlamencie z r. 1942/43.

Autor nie ułatwia sobie zadania przez pominięcie jakiegokolwiek trudności praktycznej czy teoretycznej.

Wiele miejsca poświęcone jest omówieniu zasadniczego zarzutu niektórych teoretyków, głoszących, że prawo międzynarodowe nie zna odpowiedzialności karnej. Podmiotami prawa międzynarodowego są — według nich — państwa, a nie jednostki. Nie ma tedy miejsca w dziedzinie prawa międzynarodowego na odpowiedzialność indywidualną, która jest podstawą represji karnej. Poszczególne obywateli nie mogą odpowiadać za zbrodnie wojenne, jako za przestępstwa przeciwko prawu międzynarodowemu, ponieważ nie są oni podmiotami tego prawa.

Przyznać należy, iż teoria o państwach, jako wyłącznych podmiotach prawa międzynarodowego, do niedawna głoszona była przez znakomitą większość teoretyków prawa międzynarodowego. Dopiero uczeni doby obecnej ośmielili się doktrynę tę zaatakować, widząc w niej rezultat fałszywie pojętej teorii suwerenności państwa. Tym sposobem w nauce prawa międzynarodowego nastąpił nawrót do czasów bardzo dawnych: na przełomie XVI i XVII w. wielki prawnik holenderski Grotius uważał, że prawo międzynarodowe reguluje nie tylko stosunki między państwami i jednostką, lecz nawet stosunki ludzi między sobą. Elipsa rozwoju prawa międzynarodowego zamyka się.

Autor dochodzi do konkluzji, że w świetle nauki dzisiejszej teza, iż jednostka jest podmiotem prawa międzynarodowego, nie nastreca żadnych wątpliwości. Wartości nadmienić dla poparcia tej konkluzji Goryńskiego, iż teza, uznająca człowieka za podmiot prawa narodów, posiada i pewne precedensy praktyczne. Jeden z nich np. zawarty jest w art. 304 Traktatu Wersalskiego, który, powołując do życia Mieszane Trybunały Rozjemcze, dopuszcza osoby prywatne w charakterze stron w sporach przeciwko państwu.

Po zlikwidowaniu tej zasadniczej trudności, Goryński przechodzi do problemu normy prawa międzynarodowego. Odnajdując ją przede wszystkim w szeregu konwencji. Wymienimy tu: Konwencję Genewską z lat 1864, 1906, 1909, Haskie Konwencje

z 1889 i 1907, konwencję Genewską o jeńcach wojennych z 1929 r. Zawierając określone prawa, dają one podstawy prawne karania zbrodni wojennych.

W dalszym ciągu zapoznaje nas autor z szeregiem zagadnień praktycznych. Z nich niepośledniej wagi jest sprawa, jakie sądy mają być powołane do sądenia przestępstw wojennych. Chwiejność stanowiska Sprzymierzonych w tej materii sprawiła, że sądy nad przestępcami wojennymi wojny ubiegłej stały się parodią wymiaru sprawiedliwości.

Na wniosek niemiecki do sądenia niemieckich zbrodniarzy wojennych powołany został ostatecznie Sąd Rzeszy w Lipsku. Na przestrzeni czterech przeszło lat wojny znaleziono materiał do rozpatrywania aż 16 spraw, wyroków skazujących zapadło 6. Nie trzeba nadmieniac, że wyroki były łagodne i przyniosły zło dodatkowe: apoteozę przestępcy. Z żalem należy tu zaznaczyć, że pośród prawników anglo saskich rozbrzmiewają dziś jeszcze głosy za przekazaniem sądenia większości spraw o zbrodnie wojenne sądom niemieckim²⁾.

Wnioski z obszernych rozważań Goryńskiego można tu zreasumować w sposób następujący: przestępcy wojenni w zasadzie winni być sądeni przez sądy państw, w których przestępstwo zostało popełnione. Raczej przez sądy cywilne, niż wojskowe. Specjalny trybunał międzynarodowy winien być powołany do sądenia spraw, wyłączonych spod kompetencji sądów państwowych. Będą to sprawy:

- t. zw. głównych przestępców wojennych, do których pretensje zgłaszają więcej niż jedno państwo;
- przestępców, którzy popełnili przestępstwo na terenie Niemiec i krajów z nim sprzymierzonych i współdziałających w stosunku do własnych obywateli, których pozbawiono obywatelstwa;
- przestępców, których sprawy będą przekazane Trybunałowi przez poszczególne państwa.

Przechodźmy do omówienia części pracy bezwzględnie najciekawszej. Akty ustawodawcze, skierowane przeciwko zbrodniarzom wojennym, z konieczności naruszają zasadę „Prawo nie działa wstecz“³⁾. Legalistów należy więc uspokoić, że takie postępowanie prawodawcy słuszne jest i z punktu widzenia teorii prawa.

Goryński podjął się tego zadania. Bieg myśli autora jest następujący: zasady lex retro non agit, nie można mechanicznie przenosić z kodeksów karnych poszczególnych państw do prawa międzynarodowego. W prawie wewnętrznopolskim bowiem państwo nie zapowiadając karalności danego czynu, istotnie rzekło się z góry wykonania represji w razie jego popełnienia. Państwo miało przecież wszelką możność ogłoszenia odpowiedniej normy karnej. Inaczej przedstawia się sprawa w prawie międzynarodowym. Zakazy popełnienia zbrodni wojennych istnieją. Świadczy o tym konwencje międzynarodowe i prawo zwyczajowe. Konwencje międzynarodowe i prawo zwyczajowe nie zapowiedziały, iż przestępców spotka kara — to prawda. Nie dlatego jednak normy te nie zawierały penalizacji, iż czyny z nimi sprzeczne są społecznie obojętne, lecz dlatego, ponieważ nie było (niestety) siły, któraaby wymusić mogła posłuch dla ich zachowania.

Nieistnieniem tedy normy prawnej sprawy bronić się nie mogą. „Ratio legis“ działania zasady „prawo nie działa wstecz“ na terenie kodeksów poszczególnych państw jest obawa pogwałcenia kardynalnej swobody obywatelskiej. Obywatel, który byłby sądzony za czyn, nieprzewidziany przez prawo w chwili jego popełnienia, mógłby łatwo paść ofiarą samowoli państwa. Obawa ta nie istnieje na terenie prawa karnego międzynarodowego, nie ma bowiem obawy konfliktu między wszechwładzą jakiegokolwiek władzy międzynarodowej a prawami jednostki.

Przyznać trzeba, że rozumowanie to jest niezwykle sugestywne. Jest ono tym cenniejsze, że zostało konsekwentnie wyprowadzone z zasadniczego i jedynie słusznego ujęcia zbrodni wojennej, jako przestępstwa przeciwko prawu narodów.

Zenon Goryński wykonał sumiennie zadanie, którego się podjął. Materiał zebrał cierpliwie i opracował wszechstronnie, w sposób zwięzły i zwarty. Podkreślamy szczególnie niezwykłą sumiennosc w zbieraniu głosów, przeciwnych głoszonemu przez autora tezom, wielki Darwin zauważył już bowiem, że umysł badacza naukowego posiada znamienne właściwość: z trudem może zapamiętać argumenty przeciwne pogładowi, którego jest zwolennikiem.

Celem teoretycznej części pracy Goryńskiego było udowodnienie, że przestępcy wojenni winni ulec karze nie dlatego, że należą do państw, które bądź już są pokonane, bądź też będą zwyciężone, lecz dlatego, że istnieją prawne przesłanki, uzasadniające karalność popełnionych czynów. Prawa bowiem — wbrew twierdzeniom niemieckich prawników — nie stanowi siła zwycięzcy.

W zwięzłym ujęciu znakomitego polskiego prawnika, Leona Petrażyckiego, „prawo i państwo opierają się na poczuciu prawnym każdego człowieka“.

Henryk Zylberlast

²⁾ (Por. James K. Pollock, Current History, kwiecień 1944.

³⁾ Por. artykuł autora recenzji „Problemy pozaprawne w zagadnieniu niemieckich zbrodni wojennych“, „W Drodze“, nr. 13 (31).

NOWOŚĆ !

Nakładem Wydawnictwa „W D R O D Z E”
ukazał się tom pierwszy

P O W I E Ś C I H I S T O R Y C Z N E J

TEODORA PARNICKIEGO

SREBRNE ORŁY

Stron 356

Cena 300 milsów

T O M D R U G I W D R U K U

NAKŁADEM WYDAWNICTWA „W D R O D Z E”

UKAZAŁA SIĘ KSIĄŻKA DLA DZIECI :

AWANTURY I WYBRYKI MAŁEJ MAŁPKI FIKI MIKI

Tekst K. MAKUSZYŃSKIEGO

Wielobarwne ilustracje M. WALENTYNOWICZA

Cena: 300 milsów.

¹⁾ A. Trajnin „Ob uogolnoj otwetstwiennosti gtilerowskich priestupnikow“, „Wojna i rabocizj klas“, Moskwa, Styczeń 1944.

OPINIE ANGIELSKIE KRONIKA FILMOWA COMMEDIA DELL'ARTE

Kanadyjska scena polityczna

Z dominacji brytyjskich jedyna dotychczas Kanada wyrobiła sobie niezależne stanowisko pośród narodów świata. Gdy mówimy: Australia, albo Nowa Zelandia, albo Południowa Afryka, myślimy wyłącznie o brytyjskim Commonwealth'ie. Gdy mówimy: Kanada — to chociaż widzimy szerokie tło brytyjskiej wspólnoty narodów, myślimy o państwie najzupełniej samodzielnym, którego wpływy i powaga wzrastają z dnia na dzień na międzynarodowej giełdzie politycznej.

Powodów ku temu jest wiele. Położenie geograficzne w najbliższym sąsiedztwie Stanów Zjednoczonych; rosnący potencjał przemysłowy i rolniczy; olbrzymi wkład ludzki i materialny do obecnej wojny; a nade wszystko rozsądna i zdecydowana polityka. W chwili obecnej, gdy na światowym horyzoncie politycznym rysuje się coraz wyraźniej koncepcja czterech wielkich, dominujących mocarstw: Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Rosji i Chin — odgrywa Kanada bardzo ciekawą i bardzo charakterystyczną rolę.

Po raz pierwszy z początkiem bieżącego roku po mowie Lorda Halifaxa z 24 stycznia 1944 r. w Toronto, a po raz drugi podczas niedawnej konferencji premierów dominialnych w Londynie, zajął Kanada stanowisko, sprzeciwiające się bardziej ścisłej współpracy dominionów i Wielkiej Brytanii. Powodów nie trzeba szukać daleko. Lord Halifax sugerował, że „nie sama Wielka Brytania, ale Commonwealth i Imperium powinny być owym czwartym mocarstwem w grupie czterech mocarstw, na której opierać się ma pokój świata w przyszłości”. Kanada, której bezpieczeństwo i gospodarka są ściśle związane ze Stanami Zjednoczonymi, nie może pozwolić sobie na to, aby w jakimkolwiek — nawet tylko teoretycznie możliwym — konflikcie mogła się znaleźć po innej stronie barykady niż Stany. Nie znaczy to, że Kanada wyżej sobie ceni sojusz ze Stanami niż więzy brytyjskiej wspólnoty narodów, ale Kanada musi mieć wolną rękę, jeśli by o obecnej wojnie współpraca czterech mocarstw nie była tak harmonijna, jak by sobie tego należało życzyć.

To stanowisko Kanady ma jeszcze jedną implikację. Państwo, które nie jest mocarstwem, ale z którego głosem wszyscy muszą się liczyć, stwarza precedens dla analogicznych aspiracji innych państw, które po obecnej wojnie nie będą mocarstwami. Precedens, który, być może, będzie gwarancją, że prawa narodów mniejszych będą szanowane przez cztery wielkie mocarstwa.

W Kanadzie od r. 1921 jest przy władzy partia liberalna. Podział mandatów w parlamencie federalnym (istnieją bowiem różne parlamenty poszczególnych prowincji, podobnie jak w Stanach) był po ostatnich wyborach z r. 1940 następujący: partia liberalna — 182 mandaty; partia konserwatywna — 39; Social Credit — 10; C.C.F. (Cooperative Commonwealth Federation) — 8.

Partie liberalna i konserwatywna odpowiadają mniej więcej angielskim partiom o tych samych nazwach i dzieliły się dotychczas wpływami i rządami. Obecnie wypłynęła jednak na widownię C.C.F., i to w sposób dość dramatyczny. Przy wyborach prowincjonalnych w Ontario, w sierpniu 1943 r., C.C.F. uzyskała 34 mandaty i o mały włos byłaby najsilniejszą partią w parlamencie prowincjonalnym. Przy wyborach w British Columbia w październiku 1943 r., C.C.F. uzyskała większość głosów, choć nie uzyskała większości mandatów. Obecnie przy wyborach w Saskatchewan C.C.F. rządy po premierze Mackenzie King obejmują władzę partii w tym okręgu tworzy nowy rząd. Ten nagły wzrost wpływów ma tym większe znaczenie, że za rok odbędą się wybory federalne, które mogą bardzo łatwo dać zwycięstwo C.C.F., a wówczas rządy po premierze Mackenzie King obejmie „leader” C.C.F. — M. J. Coldwell.

C.C.F. jest odpowiednikiem brytyjskiej Labour Party, a jeśli nie przyjęła tej nazwy, to dlatego, że słowo socjalizm, którego Labour Party jest zwykle eksponentem, ma dziwnie nieprzyjemne asocjacje dla kanadyjskich wyborców. Partia wyrosła po ubiegłej wojnie ze zjednoczenia partii chłopskiej i partii robotniczej. Pierwszym jej przywódcą był J. S. Woodsworth. Program C.C.F. jest wyraźnie socjalistyczny, z tą głównie różnicą, że uznaje własność prywatną ziemi, choć domaga się upaństwowienia banków i przemysłu. Jego główną ostoną są kooperatywy.

W polityce zagranicznej niewiele się jednak zmieni. Mimo różnicy prądów politycznych (podobnie jak i inne państwa brytyjskiego Commonwealth'u idzie Kanada wyraźnie na lewo, podczas gdy tendencja polityczna Stanów jest zdecydowanie na prawo) jest Kanada zbyt zależna od Stanów Zjednoczonych, aby mogła odejść do polityki Mackenzie Kinga.

Bomba latająca

Pomijając dziesiątki nazw, jakimi folklor angielski ochrzcił najnowszą broń Hitlera (najbardziej przyjęła się nazwa „doodle-bugs”) wydaje mi się, że określenie „bomba latająca” najlepiej odpowiada rzeczywistości i faktom. „Jest to mechaniczna zabawka tych „strasznych dzieci”, jakimi są Niemcy. Jest ona nieskuteczna i bezcelowa jako broń, co nie znaczy, że nie jest groźna. Olbrzymi odsetek latających bomb spada na morze lub na szczyre pola nawet bez przyczynienia się angielskiej obrony. To najbardziej charakterystyczne przypadkowość ich celności. Jednak te, które docierają do celu, — a celem nazywam domy mieszkalne i życia ludzkie, — zbierają groźny pomył niewinnych ofiar: dzieci, starców, kobiet, ludności cywilnej. Nie wygra ta bomba wojny dla Hitlera, ale już zrazila do Niemców wielu spośród tych Anglików, którzy z sentymentalnych czy zasadniczych względów głosili ewangelie o „dobrych Niemcach”.

Jaka jest reakcja ludzi na bomby latające? Trudno, rzecz jasna, o uogólnienie. W południowej Anglii — w zasięgu bomb latających — żyje jakieś 20 milionów ludzi, więc moje obserwacje muszą być bardzo fragmentaryczne. Mogę jednak stwierdzić, że na ogół Anglicy umiają panować nad swymi nerwami nie gorzej niż podczas „blitzu”. Zresztą Anglicy byli zawsze bardziej dostępni dla logicznej argumentacji niż ludzie z kontynentu, a na chłodny rozum bomba latająca jest znacznie mniej groźna niż inne dotychczasowe formy ataku na ludność cywilną.

A propos bomb latających i ludzi, którzy aby ich uniknąć przeprowadzają się w rzekomo bezpieczniejsze miejsca, cytował „New Statesman and Nation” anegdotę, opowiadaną przez Sommerset Maugham'a:

„Do bogatego kupca przylatuje jego służa i głosem, drżącym ze zdenerwowania, prosi go, aby mu pożyczycy swego konia: „Panie, widziałem na rynku śmierć i groziła mi pięścią, więc choć uciec na Twoim koniu do Samary”. Kupiec użył słów: „Dlaczego groziłaś memu słudze?” Na to śmierć: „To nie była groźba. To był tylko odruch zdziwienia, że go widzę tutaj na rynku, skoro mam się z nim spotkać dzisiaj wieczór w Samarze”.

Choć prawdą jest, że tych, których bomba latająca uderza, nie przekona żadna argumentacja, nie mniej z perspektywy faktów i doświadczeń trzeba stwierdzić, że: 1. nie ma porównania z groźną i zniszczeniem blitzu, 2. nie ma mowy, aby bomba latająca w jakikolwiek sposób — materialny czy psychiczny — mogła wpłynąć na determinację Anglików.

Lend-lease dla Sowietów

Komisariat Handlu Zagranicznego w Moskwie ogłosił 11 czerwca b. r. cyfry dostaw broni i surowców, jakie Rosja Sowiecka otrzymała od swych zachodnich sprzymierzeńców w ramach lend-lease'u. Po raz pierwszy obywatele Rosji dowiedzieli się oficjalnie o rozmiarach pomocy, jaką otrzymali od Anglii, Ameryki i Kanady. Cyfry podane są tak ciekawe i tak imponujące, że warto je obszernie zacytować.

Do 30 kwietnia 1944 r. powyższe trzy państwa dostarczyły Rosji:

12.265	rozmaitych samolotów,
9.214	rozmaitych czołgów,
3.730	dział przeciwlotniczych.
22	poławiacze min,
220.817	wojskowych samochodów ciężarowych.
17.000	motocykli,
241	lokomotyw,
4.138	motorów okrętowych,
26.871	obrabiałek do metalu,
2.822	pras i młotów mechanicznych,
548	elewatorów,
5.500.000	par butów,
2.545.800	ton środków żywnościowych.

setki milionów sztuk amunicji i niezliczone ilości innych, koniecznych do prowadzenia wojny materialów, surowców i przedmiotów.

Lista rosyjska wymusza dwie sprawy. 1. Olbrzymi wkład demokracji zachodnich do zmagania na froncie wschodnim (wprawdzie nie można porównywać ofiar w ludziach z ofiarami w rzeczach, ale gdy pomoc wojskowa była niemożliwa, należy stwierdzić, że pomoc materialna, udzielona Sowietom, była tego rodzaju, że na pewno zaważyła na szali), 2. olbrzymi potencjał przemysłowy Sprzymierzonych. Potencjał tak wielki, że nawet same cyfry lend-lease'u dla Rosji przyprowadzą nas o zawrót głowy.

Śczęśliwa rasa

Najbardziej niewiarygodną prawdą angielskiej codzienności jest aż do znużenia zbanalizowane powiedzenie: „My home is my castle” — godo angielskiego życia domowego. Szczytem marzeń przeciętnego Anglika (a w Anglii jest więcej przeciętnych ludzi niż gdziekolwiek) jest *naprawdę* dom, a w tym własnym domu spokój od zewnętrznych ingerencji. Przedmieście Londynu — o tyle większe niż jego centrum i rozprzestrzenione na większej powierzchni niż jakiekolwiek inne miasto świata — mają dwie znamienne cechy. Są niezmienne do siebie podobne, ciągnące się długimi kolistymi ulicami jednopiętrowych domków, takich samych w Croydon, Barnet, Wembley czy Ealing. I są ciche i jakby wydłubione od zewnątrz Sklepy, nagromadzone zawsze na jednej ulicy lub w jednej dzielnicy, nie zakłócają spokoju i ciszy rozgardzaniem „shoppingu”. Nie widać dzieci, bawiących się na ulicy, ani dorosłych, wystających w oknach lub idących na płotek do sąsiada.

Życie angielskie koncentruje się w domu, a Anglicy nie tylko wierzą, że tak jest najlepiej, ale kochają się w tej swojej wierze. Nie można Anglikowi bardziej schlebić, niż chwalić rozkosz angielskiego „home'u” i angielską autoreklama (świadoma czy nieświadoma) tą świętością domowego ogniska najbardziej się chlubi.

I dlatego nie zaskoczył mnie fakt, że premiera nowego filmu Noel Coward'a p. t. „This Happy Breed” odbyła się z taką pompą i została tak entuzjastycznie przyjęta zarówno przez publiczność jak i przez krytykę.

Jest to historia angielskiego domu między dwiema wojnami. Rozpoczyna się w r. 1918, gdy rodzina starego, bliżej niczym się nie odznaczającego Mr. Gibbonsa wprowadza się do domu nr. 17 na Sycamore Road, a kończy się w przeddzień obecnej wojny, gdy Mr. i Mrs. Gibbons wyprowadzają się, nie wiadomo dokąd. Właściciel jest to historia rodziny Gibbonsów, nie domu, ale dom i życie rodzinne są tak ściśle związane ze sobą, że w filmie oprócz paru historycznych migawek — dzień zawieszenia broni, strajk powszechny z 1926 r., wystawa w Wembley, śmierć króla, Chamberlain wracający z Monachium — nie ma w ogóle „plain airów”.

Historia jest prosta i bez melodramatycznych scen, choć parę epizodów, jak np. eskapada córki, skusiłaby amerykańskiego reżysera do melodramatu. Nawet tak tragiczne wydarzenia, jak śmierć syna w wypadku samochodowym, jest tylko opowiedziane. Ten umiar jest równie angielski, jak oszczędność gestów i powściągliwość mimiki aktorów. Nie ma gwałtownych scen, gdy bohaterów filmu ponoszą nerwy czy temperament. Jak wspinała (i angielska) w swym umiarze jest scena między ojcem a synem, gdy syn wraca pokrwawiony po udziale w rozruchach strajkowych, którym ojciec się sprzeciwiał.

Zespół aktorski jest dobry. Wybija się matka, Mrs. Gibbons wspaniale zagrana przez Celie Johnson. Rola jest trudna, ale nawet lata, które postarzają bohaterkę, nie łamią jednolitości gry. Twardo, zaharowane, monotonne życie Mrs. Gibbons jest także angielskie. Mężczyzna na swój klub, czy swoje wspomnienia wojenne, celebrowane w gronie kolegów. Kobieta ma tylko dom.

Film nie podobał się moim przyjaciółm-Polakom, których inteligencja i zjawstwo wysoko ceni. Rejestruje to zarówno dla dziennikarskiej obiektywności, jak i dlatego, aby podkreślić jak typowo angielski jest ten film, o którym „Observer” pisał, że: „jedynie ludzie, którym się ta historia wyda nudna, to są ci nudziarze i pedanci, którzy życie same uważają za nudne”.

H. S. Dominik

Produkcja i rozwój filmu idą dwiema drogami, będąc albo wytworem wielkiego przemysłu, albo też rezultatem prywatnej, awangardowej pracy, wykonywanej w trudnych warunkach przez wyznawców tej nowej sztuki. Często przemysł porywa osobę artysty, jak to np. stało się z René Clair'em, ale bardzo niewiele przytem bierze z jego odkrywczego dzieła. I może jedynym wypadkiem, kiedy stało się inaczej, kiedy nowatorski warsztat zdołał zdobyć dla siebie środki przemysłowe, jest sukces filmu rysunkowego.

Disney'owska myśka i fleischerowski Kubuś-marynarz poprzez sympatię publiczności zdołali trafić do amerykańskich kieszeni i stworzyć film własny, odrębny, rozwijający się samodzielnie, będący sztuką dla mas, a równocześnie ciągle szukający świeżych rozwiązań. Tę nieustanną świeżość i nowość filmu rysunkowego wyczuwa się doskonale na tle banalizujących się produkcji: gdyby trzeba było dziś wymienić najoryginalniejszy obraz po r. 1939, wskazanoby chyba bez wahania na muzyczno-malarską „Fantazję” Disney'a. Także i w opowiadaniu i w wyzyskaniu barwy kreskówka wyprzedziła film zwykły i choć dzisiaj szanse zaczynają się równoważyć, choć zapewne w ciągu kilku lat powojennych obraz czarno-biały stanie się unikatem, pamiętamy przecież, jaką radością i urozmaicheniem dla oka jeszcze do niedawna były kolorowe nadprogramy z cyklu „Silly Symphonies”. Z nich rozwinęła się później pełnometrażowa bajka o „Królowej Śnieżce”, podobnie jak i pełnoprogramowy film Fleischer'a o Gulliverze. Następnie przyszedł disneyowski „Pinocchio”, porzucający tradycijną bajkowość i zbliżający się już w swych fantastycznych wizjach do przyszłej „Fantazji”, po „Fantazji” zaś użytkował Disney jej zdobycze w nowym filmie rysunkowym o słoniatku „Dumbo”. Otrzymały też swą własną opowieść filmowa („Bambi”) wdzięczne sarenki, bohaterki licznych krótkometrażówek.

Zainteresowanie publiczności filmami Disney'a, ich odrębny światem, jest tak szerokie, że wytwórnia wypuściła w końcu film, wprowadzający w kulisy disney'owskiego studia („The Reluctant Dragon”), w interesujący proces filmowej animacji człowieka, — takie bowiem określenie będzie tu właściwsze od nasuwającego się mimowoli „antropomorfizacji zwierzęcia”, jaka wypełnia tyle książek o zwierzętach.

Wreszcie sięgnął Disney do dziedziny nieoczekiwanej, realizując film informacyjny, który w klasyfikacji amerykańskiej został nawet zaliczony do gatunku filmów dokumentalnych. Ten pierwszy propagandowy obraz Disney'a, poświęcony Ameryce „Południowej, „Saludos Amigos”, krytyka wyróżnia na jednym z czołowych miejsc, oceniając twórczość filmową za rok 1943. Aby mieć całość pełnometrażowych filmów rysunkowych, dodajmy jeszcze dowiecny eksperyment Fleischer'a „Mr. Bug Goes to Town”, gdzie oglądamy świat, a więc i ludzi z wysokości spojrzenia owada — obraz, jakby przeznaczony dla S. Themersona...

Początek kreskówki technicznie wiąże się z różnymi prymitywnymi aparatami, pokazującymi „ruchome obrazy”, jakie poprzedzały narodziny filmu, artystycznie zaś z odwiecznym widowiskowym zwyczajem łączenia tragedii i komedii. Gdy jeszcze nie było tak dziś pożądanym dzienników filmowych, kinowy program składał się z właściwego filmu, reportażu geograficznego i nieodwołnego „komicznego” dodatku. Kiedy zaś przygody Chaplina rozrosły się w samodzielną farsę, a miejsce widowisk Szwajcarii zajął Pathé-Journal, zaczęły się pojawiać pierwsze, niezdarne kreskówki.

Miały one zastąpić komiczne dodatki, a więc starały się być zabawne. Przedmioty zostały ożywione, miotłom i kijom wyrosły pajakowate ręce i nogi, niczym na kiepskich reklamach; olwiane wojsko ruszyło do bitwy, a w końcu zjawił się tradycyjny motyw komediowy: zaloty. To Fleischer wprowadził karykatury ludzkich postaci, jakby wyjętych z niedzielnego humorystycznego dodatku dziennika, dodał stale powtarzający się mechanizm akcji (jeden ze środków osiągnięcia komizmu: powtórzenie), wiele absurdałnego humoru i tak powstały pierwsze typy rysunkowego filmu: Kubuś-marynarz i filuterna Besty na krętych nóżkach, cienkich obcasach, z odsłoniętą podwiązeczką nad kolanem, robiąca kokieteryjne „oko” i niewinnie trzymająca palec w buzi. Przekładała ona szczęśliwego romantu Kubusia i Betsy jest zawsze groźny, brutalny olbrzym lub goryłowy potwór. Rycearz Kubuś ulega w nierównej walce, zawsze nad nim koszarzą zagłady, póki nie ocali go puszcza szpinaku. Szpinak cudownie wraca mu siły i odrodzony marynarz bokserскими ciosami powala olbrzyma.

Prymitywna ta akcja, idąca aż od jakichś najstarszych jarmarcznych igrow, przetrwała do dziś dnia. Jej dziwactwa tłumaczą się satyrą na natrętą kampanię reklamową producentów konserw z odpowiednikiem naszego hasła „cukier krzepi”. Ale ważniejsze, że odbija się tu także schemat sennego koszaru, motyw przytłaczającego niebezpieczeństwa, nieuchronnej zaty, a obok tego paniczna ucieczka, nieszkodliwe upadki w przepaść i cudowne ocalenia. W miarę rozszerzania się tematycznego zasięgu kresówek, czerpią one coraz szerzej z baśni, legendy i fantastyki snu. Sennie przeistaczanie świata, nadawanie życia przedmiotom, tworzy w końcu osobny typ nadprogramu, pokazujący stale nocną przemianę rzeczy martwych. Raz po raz, czy to w interpretacji Fleischer'a czy Disney'a, oglądamy północne harce kuchennych naczyń, przedmiotów ze sklepowych wystaw, powtarza się wieczorna rozmowa zegarów, gwarzących po odejściu zegarmistrza, hulanka sklepowych pudełek, pozostawionych bez ludzkiego nadzoru; wyprawy i tańce dzieciennych zabawek. Dziecinna zabawka jest jednym z podstawowych ogniw transformizmu, uprawianego

przez film rysunkowy. Jej martwy kształt, powtarzający kształt żywy, prosi się o ruch — bajka Andersena o olwianym żołnierzu roztacza swój patronat nad kolorowymi „cartoonami” Disney'a.

(Ale Disney idzie dalej. Ogarnia świat roślin i zwierząt, całą przyrodę, słońce, księżyc, gwiazdy. Ów baśniowy, nierealny świat jest światem lepszym, weselszym, prostszym — nawiązuje do wyobrażeń dzieciństwa, nie zna wrogości między człowiekiem a człowiekiem, człowiekiem a zwierzęciem, walczy zaś tylko z obcym, czarnoksiężkim „złem”. W pamięci miłośników kina pozostała zapewne wzruszająca historia polarnych niedźwiedzi, rodzinna sielanka pingwinów, czy drobna a pełna wdzięku opowieść Disney'a „W sarym mylnie”.

Disney jest nie tylko komiczny, lecz i poetyczny; daje widzowi nie tylko śmiech, ale przede wszystkim szczególne uczucie odprężenia i odpoczynku; uwalnia od codziennego realizmu, od konfliktów życia, odwołując się do swobody wyobraźni, wkrzeszającą uśpione w podświadomości dzieciństwo.

Człowiek miejski nie zna intymnego życia zwierząt. Treść ich leśnego istnienia może być łatwo tworzywną bajki, polem fantazji. Korzysta z tego Disney, a napięcie akcji, mimo tradycyjnej grozy koszaru, wolne jest od prawdziwej dramatyczności, dzięki temu, iż — jak w bajce, jak w eposie — pamiętamy o nierzeczywistości owego świata. „Cartoony” nigdy nie kończą się źle.

Przy tym film rysunkowy niejako zabezpiecza się przed dramatyzacją, wybierając na swych ulubionych bohaterów przede wszystkim młode zwierzęta, zwierzęta-dzieci, i odwołując się do opiekuńczych instynktów dorosłego widza. Słoniatko Dumbo, prześladowane za swą niefortunną urodę, czy sarenka Bambi, z miejsca zdobywają sympatię. Stąd już tylko krok do bajki o dziecku, do tego motywu Kopciuszka, jaki stanowi ośrodek akcji w „Królowie Śnieżce”.

Jednakże w „Snow-white” nie Śnieżka najbardziej się podobala, lecz karzełki. Postać ludzka, nawet gdy jest postacią z bajki, wypada w rysunku filmowym martwo i sztucznie, kiedy pretenduje do realizmu. Film rysunkowy nie powinien konkurować z fotografią, ani narażać się na współzawodnictwo ze światem realnym. Słuszność tego ograniczenia potwierdzają inne nieudane próby realistycznego odtwarzania postaci ludzkich, jak np. oleodrukowy Gulliver z „Gulliver's Travels” Dave Fleischer'a. To też następny film — zarówno disney'owski, jak fleischerowski — szuka już innych sposobów Fleischer, opowiadając o życiu owadów w „Mr. Bug Goes to Town”, wpadł na zły pomysł pokazania tylko gigantycznych butów, przechadzających się, jak nadnaturalne zjawisko, w świecie maleńkich żyjątek. Disney zaś dał człowieka nierealnego, człowieka-groteskę, postać syntetyczną, przypominającą uproszczone typy dawnej komedii czy przebranych aktorów japońskich. Zmechanizowane ruchy zbliżyły disney'owskich ludzi do zwinionej zabawki („Pinocchio”), mocno zarysowany kontur narzucił żywość i martwość przedmiotu, wreszcie wynalazkiem Disney'a było wprowadzenie współgrających z postacią cieni, cieni — podobnych do zwierząt. Podobieństwo nie ogranicza się do podobieństwa materialnego, do efektów komicznych, stając się także i symbolem. Zwierzęcy cień demaskuje charakter bohatera i odsłania jego wstydliwą prawdę wewnętrzną, kiedy zaś np. pod wpływem alkoholu przestaną działać powściągające hamulce rozsądku, postać jednocześnie z cieniem, jakby dla potwierdzenia przyswiała, iż człowiek staje się niekiedy zwierzęciem. Wrażenie jest niezwykle, transformizm nabiera cech metafizycznych i pod tym względem kilka scen piątkich z „Pinocchio” lub pochodół przypłytnych czołowników z „Dumbo” może się równać z najlepszymi wzorami teatru.

Ten odwrócony stosunek zwierzęcia i człowieka, ta animacja człowieka, jest już u Disney'a stałym środkiem artystycznym od czasu, jak stworzył „zespół” bohaterów swych cartoonów. Zamiast posługiwać się podrabianą psychologią zwierzęcia, Disney często przebiera po prostu świat ludzki w kształty zwierząt i ludzkie cechy i przeżywa wypowiada gestami zwierzęcia. To uproszczenie odrzuca skomplikowanie psychologiczne, dając zato wyraziste typy. Można je porównać z „Ptakami” Arystofanesa, z maską starożytnego aktora, z tradycyjnością kostiumu w dawnym teatrze. Jeśli szukać dziś żywej commedia dell'arte, to właśnie w disney'owskim filmie, gdzie czupurny kaczor Donald będzie plautowskim miles gloriosus i włoskim Fracassa, sprytny łis będzie kontynuował intrygi neapolitańskiego Pulcinelli, kokieteryjne, samicki powtórza sposoby Colombina, a podstarzały, łakomy i niezbyt mądry pies przypomni Pantaloeona.

Owe jednoznaczne postacie wystarczają dla cyklu „Silly Symphonies”, w którym dowcip sytuacji, rysunku, a nawet i tekstu łączy się z dowcipem muzycznym. Natomiast droga, na jakiej Disney jest obecnie, rozpoczęła się w „Pinocchio”. Tu świat baśni został uznany za rzeczywistość, wśród której dopiero występuje wtórna cudowność. W „Pinocchio” opiekuje się drwinianym chłopcem uczony duszek, w „Dumbo” czuwa nad słoniatkiem sprytny szcurek, nowe wcielenie słynnej Mickey Mouse — oboje są bajką wśród bajki, fantazją pośród dziecinnie wyobrażanego świata, w którym nadal wszystko jest cudownym snem, w którym fruwają zwierzęta, śpiewają kwiaty i szybko schną lzy. Zestawienie jednak, jakie robi Disney, narzuca sugestie prawdy w stosunku do społeczeństwa rysowanych ludzi i zwierząt, pozwala niekiedy nawet na akcent tragiczny (pieśń niewolników i robotników w „Dumbo”).

Mimo tych nowych właściwości Disney pozostaje ciągle odświeżającym powrotem do okresu dzieciństwa, kiedy świat przyrody mógł być dla dziecka bliższy od świata ludzi. Disney technicznie, cieszy dowcipem i inwencją, przynosi odpowiedź. Niestety — malarstwo jest tu nierzadko bardzo prymitywne i obok świetnych fantasmagorii z „Dumbo” zjawiają się hippocentaury z „Fantazji”. Te gkażenia są wynikiem wpływu amerykańskiej grafiki reklamowej, co jednak nie przeszkadza, że „Fantazja” film rysunkowy wkroczył w dziedzinę filmu abstrakcyjnego i w zupełnie nową sferę zagadnień, zarówno malarskich, jak i filmowych.

Jan Martyka

Rękopisy należy adresować nieosobowo do Redakcji „W Drodze”.

Rękopisów niezamówionych Redakcja nie zwraca.

Z TEATRU

„Zaczarowane koło“

Polskie Koło Przyjaciół Teatru w Jerozolimie. — Polski Teatr Szkolny: L. Rydel i „Zaczarowane koło“ — baśń dramatyczna w 5 aktach. Reż. S. Brochwicz-Lewińska; kier. lit.: St. Brochwicz-Lewiński; dekoracje — Jan Krajewski. Ilustr. muzyczna układu Petruszki.

Polskie Koło Przyjaciół Teatru w Jerozolimie wystawia już trzecią z kolei sztukę. Po fredrowskiej krotce „Ożenić się nie mogę“ i „Zemście“ przygotowano popularną niedgdyś baśń Lucjana Rydla, która w młodopolskich czasach była jedną z ulubionych sztuk krakowskiej publiczności. Przemawiała ona do niej swym romantyzmem, tajemniczością, ponurym nimbem zbrodni oraz literacką ludowością, jaka trwała wówczas w modzie. Było w niej wszystko, co odpowiadało ówczesnym gustom: stylizowany wiersz, wzorowany na Wyspiańskim, echa mickiewiczowskich baład i — „Balladyny“, pomysły i nastroje, zbliżone do szerzącego się w Krakowie niemieckiego ekspresjonizmu, hauptmannowska fantastyka i symbolizm. Stary teatr krakowski nie szczędził wystawy, a w głównych rolach pojawiały się plejada aktorów, niemając przyczyniając się do powodzenia sztuki.

Dziś wydaje się, że czas sukcesów baśni Rydla przeminał. Przyzwyczajeni do nowoczesnej prostoty i kondensacji stylu z trudem znośmy młodopolską manierę. Razi nas sztuczny wiersz we wcześniejszych sztukach Rostworowskiego, egzaltacja dramatów Przybyszewskiego jest prawie nie do zniesienia i jako jedyny przedstawiciel tamtych czasów na scenie ostaje się tylko Wyspiański, z niemierną „Nocą Listopadową“ na czele.

Koło Przyjaciół Teatru trafia na te same trudności w wyborze repertuaru, jakie ma przed sobą każdy teatr amatorski, pomnożone jeszcze przez brak tekstów polskich w Palestynie. Każdy jednak teatr, a tym bardziej teatr nie zawodowy, przystosowuje repertuar do możliwości aktorskich.

Dla zespołów amatorskich najniebezpieczniejsze jest porównanie się do dzieła klasycznego, których inscenizacja daje sposobność do ostrych porównań, oraz podejmowanie sztuk, będących raczej obciążeniem, niż pomocą. W teatrze amatorskim tekst powinien ratować wykonanie, zainteresowanie akcją powinno pozwolić zapomnieć o usterekach gry. To też dziś na pełne powodzenie w Jerozolimie może liczyć tylko repertuar współczesny, możliwie aktualny, lub te sztuki z niedawnej przeszłości, które mają w sobie mocny nerw dramatyczny. A ponieważ jest dostęp tylko do niewielu sztuk polskich, (jednak jest Zapolska!), nie obejdzie się bez przekładów.

Tymczasem jednak zespół Koła Przyjaciół Teatru zmienił swój charakter, stając się zespołem quasi zawodowym. Dawna nazwa stała się nieścisłym określeniem o tyle, że owa grupa sceniczna nie jest już swobodna w wyborze repertuaru i musi go, jako placówka Teatru Szkolnego, przystosować do potrzeb programu gimnazjum i liceum. To popycha zespół ku sztukom klasycznym, a więc najniebezpieczniejszym dla aktorów niedoświadczonych.

Jaki jest pożytek z wystawienia „Zaczarowanego Koła“? Rozrywka dla młodzieży — tak. Spokość dla nauczyciela wskazania uczniom młodopolskiej manieri na przykładzie — tak. Poza tym inscenizacja baśni Rydla jako jest mimowolną karykaturą teatru „Zaczarowane koło“, przeszycone dość dzisiaj naiwnym symbolizmem i pozbawione głębszych wartości literackich, może się podobać współczesnemu widzowi tylko przy wyborze grze, a przede wszystkim przy świetnej wystawie i inscenizacji, istotnie tworzącej z tej sztuki zaczarowaną baśń. Teatr objazdowy, grający nieraz nawet i bez sceny, już zgóry nie miał po temu warunków. Pogorszyły sprawę dekoracje, pozbawione smaku i stylu, a przy tym i niepraktyczne, gdyż przeciagaly widowsko prawie do pięciu godzin. Można przez tak długi wieczór słuchać „Parsifala“, „Fausta“, „Diadłowa“, ale nie Rydla.

Wykonanie było nierówne i raz po raz rozbijające sugestie rzeczywistości, jaką powinien dać aktor. Z licznego zespołu można wyróżnić pełną szczerością grę Młynarki (M. Nowińska), wyrazistą sylwetkę Boruty (Wł. Janek), trudną postać Głupiego Maciusia (S. Brochwicz). Oklaski widowni zdobył też charakterystyczny epizod organisty (J. Sławski), a Cz. Gebej włożył wiele wysiłku w opanowanie roli Kusego.

Całość wreszcie zespołu, trzeba przyznać, spełniła z zamilowaniem pracę w trudnych warunkach.

Zdzisław Broncel

KORESPONDENCJA

Do redaktora „W Drodze“

W nr. 13/32 „W Drodze“ ukazała się recenzja p. Róży Fischer-Pinnerowej o książce Anatola Krakowieckiego. Recenzja ta zachęcała mnie do przeczytania książki samej i uważała ją za tak krzywdzącą, że pragnę naprawić bodaj w części ujemne wrażenie, wywołane przez nią. Nie mogłem znaleźć potwierdzenia jednego choćby z zarzutów, podniesionych w recenzji, a bajki Krakowieckiego ujęły mnie swoją prostotą i poetycznością tych właśnie obrazów, które recenzentka przytacza. Przemawia do mnie zdanie: „Zima się kończy, dogorywa, taje. Wówczas zaczyna się przedwiosnie. Jest to okres dokuczliwy, smutny, zalany deszczem, spozierający w niebo oczyma kaluż, zalany grzązkami błotem“. Tak rzeczywiście jest. Dziecko, które na Środkowym Wschodzie czy w Afryce nie pamięta polskiego przedwiosnia, przypomni sobie wiele. Wydaje mi się, że nie ma pretensjonalności w określeniu procesji łowickiej czy krakowskiej kolorami. Trudno dyskutować z zarzutem, że morał w książce jest zbyt matryny, w wielu opowiadaniach nie ma go wcale. A ileż najpiękniejszych właśnie bajek zacytowanego Andersena jest pozbawionych tego morału. Nie przypominam sobie żadnej.

Bajki Krakowieckiego przeczytałem z przyjemnością. Znalazłem w nich bardzo dużo poezji, znalazłem we wspomnieniu tego autentycznego Krakowianina masę autentyczności, a to bodajże dla naszych dzieci, którym pragniemy dać jak najwięcej z atmosfery polskiej, że wspomnienia polskiego, jest najważniejsze.

Konrad Prus

Sprawa polska weszła w nowe stadium.

Zestawmy fakty.

Dnia 19 lipca wojska rosyjskie przeszły w rejonie Brześcia Bug, uważany przez Rosjan za granicę państwową polsko-sowiecką.

Dnia 22 lipca premier Mikołajczyk oświadczył przedstawicielowi „Sunday Dispatch“, że gotów jest spotkać się z marsz. Stalinem w każdym miejscu, o każdej porze i nie stawiając żadnych wstępnych warunków.

Następnego dnia radio Związku Patriotów doniosło, że w Chełmie ukonstytuował się Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, który na terenach, zajmowanych przez Czerwoną Armię, ma spełniać funkcje tymczasowego rządu polskiego. Na czele Komitetu stanął p. Edward Morawski, którego audycje radiostacji Związku Patriotów przedstawiają jako byłego działacza pęposowskiego. W skład Komitetu wchodzi grupa osób z Wandą Wasilewską na czele, które dały się poznać jako działacze komunistyczni, kilka osób, które w różnych stronnictwach polskich odgrywały przed wojną raczej drugoplanową rolę, i wreszcie spora grupa ludzi, o których nie powiedzieć nie można, ponieważ są oni społeczeństwu polskiemu zupełnie nieznani.

Dnia 25 lipca ministrowie Mikołajczyk i Romer konferowali z min. Edenem, dnia 26-go premier Mikołajczyk rozmawiał z premierem Churchilllem.

Dnia 26 lipca Polska Agencja Telegraficzna ogłosiła w związku z powstaniem Komitetu oświadczenie oficjalne, w którym m. in. czytamy:

„Osoby, wchodzące w skład tego Komitetu, przeważnie są całkowicie nieznane społeczeństwu polskiemu i nie reprezentują nikogo poza nieliczną i nie posiadającą znaczenia w społeczeństwie grupą komunistyczną.

Jest to próba narzucenia narodowi polskiemu przez garskę uzurpatorów kierownictwa politycznego, niezgodnego z wolą ogromnej jego większości“.

Tegoż dnia min. Eden, zainteresowany w Izbie Gmin, oświadczył, że „rząd brytyjski nadal uznaje rząd polski w Londynie jako rząd Rzeczypospolitej Polskiej (dosłownie: „The British Government continues to recognise the Polish Government in London as the Government of Poland“).

Dnia 27 lipca, w dzień po oświadczeniu min. Edena, komunikat z Moskwy doniósł, że między władzami sowieckimi a nowopowstałym Komitetem została podpisana umowa o przekazywaniu władzy na terenach, zajętych przez wojska sowieckie. Władze sowieckie nadały aktowi podpisania tej umowy charakter specjalnie uroczysty. Obecny był przy nim marsz. Stalin.

Tegoż dnia depesze z Londynu doniosły, że premier Mikołajczyk w towarzystwie przewodniczącego Rady Narodowej Stanisława Grabskiego i min. Romera wylecieli do Moskwy dla przeprowadzenia rozmów z marsz. Stalinem.

W chwili, gdy słowa te piszemy, premier Mikołajczyk jest w drodze do Moskwy.

KRONIKA POLSKA

— W numerze z dn. 20 lipca hebrajskiego dziennika „Hazman“ czytamy: „Właśnie w tych dniach nakładem dwutygodnika „W Drodze“, wychodzącego w Jerozolimie i wydawanego przez Polskie Centrum Informacji na Wschód, ukazało się poważne, naukowe, obszernie studium w języku polskim p. t. „Rolnictwo palestyńskie i osadnictwo żydowskie w Palestynie“. Autorem studium jest specjalista od spraw agrarnych, inż. Antoni Kotużyński. Książka odznacza się zaletami, zarówno jeśli idzie o ilość, jak i jakość zawartego w niej materiału. Przynosi ona pełną i obiektywną ocenę dzieła kolonizacji sjonistycznej i napisana jest w duchu życzliwym dla odbudowy Palestyny i odrodzenia narodu żydowskiego“.

— W tel-avivskim „Habokerze“ z dn. 25 lipca znajdujemy p. t. „Energia twórcza — poważne osiągnięcia. Książka polskiego uchodźczo-ekonomicznego o dziele sjonistycznym“ następującą notatkę: „Nakładem wydawnictwa polskiego „W Drodze“ w Jerozolimie ukazała się książka p. t. „Rolnictwo palestyńskie i osadnictwo żydowskie w Palestynie“ pióra inż. Antoniego Kotużyńskiego. Autor aż do wybuchu wojny był dyrektorem Banku Rolniczego w Poznaniu. Książka o objętości 220 stron zawiera szczegółowe przedstawienie rozwoju dzieła sjonistycznego w Palestynie od chwili ogłoszenia deklaracji Balfoura aż do dzieł dzisiejszy, różnych form kolonizacji, prądów emigracyjnych, składu ludnościowego i t. d.“.

— Jako piąty tom „Prac“ Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce („Polish Institute Series“) ukazało się nowe krytyczne wydanie greckiego tekstu Pindara „Pindari Epinicia“, w opracowaniu profesora Uniwersytetu Warszawskiego, Aleksandra Turyna. Książka ta ma swoją bardzo ciekawą historię. Autor jej, wybitny znawca Pindara, złożył w r. 1938 tekst swojego opracowania Polskiej Akademii Umiejętności. Wydanie tej książki stanowiłoby ważną datę w dziejach polskiej filologii klasycznej: byłaby to mianowicie pierwsza naukowa edycja klasyka greckiego opracowania przez polskiego uczonego i wydana w Polsce. Wybuch wojny zastał książkę w części już wydrukowaną. Jeden egzemplarz wydrukowanych arkuszy udało się autorowi przewieźć ze sobą do Ameryki. Obecne wydanie dokonano z nich sposobem fotolitograficznym. Zostało ono poświęcone pamięci Tadeusza Zielińskiego.

— W Tel-Avivie ukazał się nr. 8—9 „Lekarza Polskiego na Wschodzie“, organu „Sekcji Zdrowia Organizacji Samokształcenia Oficerów Ośrodka Tel-Aviv. Przynosi on prace plk. Tadeusza Sokolowskiego, doc. Czesława Czarnowskiego, prof. Alfreda Laskiewicza, kpt. Adolfa Szwarcbart, Jakuba Mackiewicza, kpt. Mariana Wasunga i gen. Felicjana Sławoja-Składkowskiego.

— Ukazał się piąty zeszyt z b. r. „Nowej Polski“. Przynosi on artykuły D. W. Brogana (o polityce brytyjskiej, artykuł napisany specjalnie dla „Nowej Polski“), Ksawerego Pruszyńskiego (dokonanie studium o Wielopolskim).

Sprawa zamachu na Hitlera urosła do rozmiarów wielkiej politycznej sensacji. Najwięcej rozgłosu nadał jej sam Niemcy. Postanowili wygrać ją politycznie, i to pod wieloma względami. Jeszcze 12 lipca niemiecki komentator radiowy, gen. Dittmar, omawiając sytuację na froncie wschodnim i przyznając, że Niemcy ponieśli tam wielką klęskę, oświadczył, iż w pewnej mierze klęska ta została spowodowana przez szczególne przyczyny, które nie czas jeszcze ujawniać. Ujawnił je w dwa tygodnie później: szeregi generałów — oświadczył — chcą przyspieszyć koniec wojny i upadek Hitlera, sabotować rozporządzenia wojenne. Gen. Dittmar jest zbyt zrecznym i szanującym się propagandystą, aby tych „sabotażystów“ uważać za jedyną wystarczającą przyczynę klęski na froncie wschodnim. Ale podkreślił, że jest to jedna z przyczyn.

Cel takiego manewru propagandowego jest jasny: ma on wytłumaczyć Niemcom, że klęska na froncie wschodnim była nie tyle rezultatem pewnego układu sił, ile raczej zdrady, że zatem obecnie, po przeprowadzeniu czystki, armia niemiecka jest na tym froncie nie osłabiona, ale — naodwrot — silniejsza. Ma on następnie odium nienawiści za klęskę zrzucić na zbuntowanych oficerów. Wreszcie powinien być źródłem nadziei na przyszłość.

Cale to tłumaczenie jest jednak mało prawdopodobne. Trudno przypuścić, aby wyżsi oficerowie Reichswehry taką właśnie strategię zastosowali akurat na froncie wschodnim, wystawiając w ten sposób na bezpośrednie zagrożenie przez wojska sowieckie bastion wpływów junkierskich — Prusy Wschodnie. Działając tak, postępowaliby bowiem akurat w zupełnej sprzeczności z tymi zasadami, które każyli im w r. 1933 pójść na sojusz z partią narodowo-socjalistyczną.

Dlaczego bowiem sojusz ten w ogóle powstał?

Junkrzy pruscy brzydzili się hitlerowcami, ale uważali sojusz z nimi za pożyteczny z dwóch względów: w sojuszu tym widzieli gwarancję zabezpieczenia Niemiec przed rewolucją bolszewicką (przed tą samą rewolucją, której niebezpieczeństwo „zdrada“ ich miałaby sprowadzić aż pod same granice Prus Wschodnich), oraz uważali, iż reżim hitlerowski będzie najsukcesowniejszym środkiem dla przeprowadzenia totalnej, najpełniejszej mobilizacji wszystkich sił narodu w nadchodzącej wojnie. Ludzie ci postawili się w sytuacji człowieka, który dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa sprzymierzył się z gangsterem. Historia raz jeszcze pokazała, że sojusz taki jest niebezpieczny. Znaleźli się oni dziś w sytuacji owej donny z popularnego limericku „who smiling went riding a tiger“. W chwili kiedy na pięć minut przed klęską chcieli odciąć się od niebezpiecznego i kłopotliwego partnera, który może pociągnąć ich — i całe Niemcy — za sobą w przepaść, partner ów schwycił ich za gardło. Nie ulega wątpliwości, że na tym — czwartym — froncie Hitler odniósł zwycięstwo i że w tej chwili nad sytuacją wewnętrzną Niemiec jeszcze panuje.

Ala zwycięstwo to ma swoją wymowę polityczną. Oznacza ono bowiem, że z niemieckiej sceny politycznej znikną jedyni czynniki, którzy mogli bez wielkich wstrząsów społecznych przejść po hitlerowcach władzę. Douglas Reed ogłosił przed zgorą roku interesującą sztukę o upadku Hitlera „The Downfall“: w obliczu nieuchronnej klęski generałowie wymuszają na Führerze rezygnację. Herr Hitler w cywilnym kapelusiku opuszcza Berchtesgaden. Godzina klęski Niemiec jest już bardzo blisko. Ale dzisiaj wiemy już niemal że napewno, że upadek Hitlera nie będzie wyglądał tak sielankowo, jak to sobie Mr. Reed wyobrażał. Nad Niemcami gromadzą się ciężkie chmury rewolucji, a Himmler jest w tej chwili zajęty likwidowaniem jedynego pozostałego piorunochromu.

I oto w sytuacji tej ciągle na nowo nasuwa się pytanie: dlaczego Niemcy nadal jeszcze walczą? Z problemem tym — z zawodowego obowiązku — stale musi się parać niemiecka propaganda. O jednej z jej odpowiedzi mówiliśmy wyżej. Brzmi ona: teraz powinno być lepiej, ponieważ w armii niemieckiej działali sabotażyści, których teraz oto wypędzono. Ale argument ten nie może przecież wystarczać. Wobec tego postanowiono nacisnąć nowy pedał propagandowy. Po raz bodaj że piąty ogłoszono przeprowadzenie w Niemczech jeszcze jednej, jeszcze totalniejszej mobilizacji. Zapowiedzi tej nie można brać poważnie. Po pięciu latach bardzo bezwzględnie prowadzonej wojny trudno przypuścić, aby z narodu niemieckiego dało się wycisnąć jakiegoś znaczącego kontyngenty rekruta bez wprowadzenia poważnych zaburzeń w działalność niemieckiej maszyny wojennej, bez czego znów przecież nie może być mowy o poważnym wysiłku wojennym. To też szczególnie wymowna jest ta okoliczność, że przeprowadzenie tej mobilizacji zostało zlecone ministrowi — propagandy.

Poza tym zaś niemiecka propaganda w ostatnich czasach coraz częściej odwołuje się do cudu. Tak, po prostu cudu Cudownym, niezwykłych skutków oczekuje się od nowych rodzajów broni, które wykrują się rzekomo w niemieckich fabrykach, Goebbels mówił w swej ostatniej mowie, że kiedy je oglądał, zapierało mu dech w piersiach, serce przestawało mu bić z zachwytu. Jeśli przyjąć, że nowe rodzaje broni niemieckiej służą po temu, aby działać na propagandystów, trzeba by je uznać za bardzo skuteczne. Komunikaty wojenne jednakże mają też swoją wymowę.

Poza tym zaś w coraz większej mierze akcentuje się element cudowności w tym, że Führer wyszedł z zamachu cało. Kto nie słucha radia niemieckiego, temu trudno będzie sobie wyobrazić, jak silnie niemiecka propaganda akcentuje cudowność ocalenia Hitlera, jak uparczywie i natrętnie stara się mówić w Niemczech, że ich Führer znajduje się pod szczególną opieką Opatrzności.

W kulcie woda tkwi zawsze pewien element cudowności. Ale w natrętnych przypominaniach radia niemieckiego tkwi jeszcze coś znacznie więcej. Tkwi namiętne wołanie o cud. I pośrednie przyznanie się do tego, że teraz już tylko cud mógłby Niemcy uratować od katastrofy.

ww.

Teodora Parnickiego (ciąg dalszy „Spowiedzi Ottona Trzeciego“ z 1 tomu „Srebrnych Oriów“), Jerzego Kuncewicz, Czesława Poznańskiego, H. S. Dominika („Home Front“: o morale angielskim), Marii Kuncewiczowej (artykuł „O uczelni bilans“ drukowany w nrze 11/29 „W Drodze“ z dn. 1 czerwca b. r.), Tadeusza Różyca i Tadeusza Potworowskiego, oraz wiersze Stanisława Balińskiego, Marii Pawlikowskiej, Antoniego Słonimskiego i Stefana Themersona.

— W Teheranie nakładem Towarzystwa Studiów Irańskich ukazał się tom drugi „Studiów Irańskich“ — „Etudes Iranienues“. Przynosi on prof. Saidy Naficyego „Cztery wykłady o literaturze perskiej“, prof. Stanisława Kościółkowskiego „Iranizacja i iranologię“, „Przekłady z literatury perskiej“, dokonane przez Franciszka Machalskiego i Sprawozdanie z działalności T-wa Studiów Irańskich za okres od 20 listopada 1942 r. do 20 kwietnia 1944 r. Wszystkie artykuły zaopatrzone we francuskie streszczenia. W artykule prof. Kościółkowskiego, który przynosi komentarz bibliograficzny iranizacji w językach angielskim, francuskim, niemieckim, rosyjskim i polskim, wspomniano również perski numer „W Drodze“ z dn. 1 listopada ub. r.

— W tomie piątym „Solidarity“, serii prac, wydawanej pod redakcją Jacques'a Métiadiera i poświęconej zagadnieniom współpracy narodów europejskich, ukazało się studium prof. Olgierda Górki p. t. „The Solidarity of Central Europe“.

— Polish Information Center w Nowym Jorku wydał broszurę Mariana Seydy „Poland and Germany and the Post-War Reconstruction of Europe“.

— W Londynie ukazała się nakładem Wydawnictwa Prac Kulturalno-Oświatowych Ministerstwa Obrony Narodowej jako tomik drugi „Biblioteczki Wychowawczej“ broszura p. t. „Towarzysze broni“, przekład z angielskiego „Comrades in Arms“.

— Nakładem Geoffrey'a Blesa w Londynie ukazała się książka p. t. „Jan, A Portrait of a Polish Airman by His English Wife“.

— W serii „A Polish Library Pamphlet“ ukazała się w Glasgow bogato ilustrowana broszura „Theatre in Poland“.

— Jako t. 41 wydawanej pod redakcją dra L. Kurdybachy „Szkolnej Biblioteczki na Wschodzie“ ukazała się w opracowaniu Henryka Gallego komedia Franciszka Zablockiego „Sarmatyzm“, przedruk nr 17 „Wyboru Pisarzy Polskich i Obcych Dla Domu i Szkoły“.

— W Jerozolimie zaczął wychodzić nakładem Delegatury P.C.K. na Środkowy Wschód „Biuletyn Informacyjny“ dla Siostr Polskiego Czerwonego Krzyża. Ukazał się pierwszy zeszyt Biuletynu z datą czerwową.

— Nakładem Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego ukazał się w Lon-

dynie piąty zeszyt serii „Nauka i wychowanie“ p. t. „Oświata i kultura w Polsce powojennej“. Zawiera on „Wtyczne polityk kulturalno-oświatowych Ministerstwa W.R. i O.P. według exposé, wygłoszonego przez ministra W.R. i O.P., ks. pralata Zygmunta Kaczyńskiego na posiedzeniu Rady Narodowej w dniu 17 lutego 1944“. Jako dwie dalsze broszury z serii zapowiadano: S. Seligi i F. Bartkowiaka „Szkolnictwo średnie na terenie Szkocji“ i K. Eydziatowicza „Radiofonie“.

— Nakładem wydawnictwa Duckwortha w Londynie ukazała się obszerna — 405 stron — „A Polish Anthology, Selected by T. M. Filip, translated by M. A. Michel. — Moja Ojczyzna — polszczyzna. Wybór poezji polskiej z utworów Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, Wyspiańskiego, Żeromskiego i innych. Przynosi ona po lewej stronie tekst polski, po prawej przełaczny (z wyjątkiem tłumaczenia „Kazimierza Wielkiego“ Wyspiańskiego) przekład angielski. Antologia przynosi sto dziesięć wierszy i fragmentów prozy poetyckiej od Kochanowskiego po Tuwima i Pawlikowską.

— W Londynie ukazała się nakładem Polskiego Ministerstwa Informacji bogato ilustrowana broszura angielska o zwycięstwie polskim pod Monte Cassino p. t. „The Abbey is Ours“.

— W Londynie ukazała się w języku francuskim broszura prof. Stanisława Grabskiego „La Frontière Polono-Sovietique“.

— W Glasgow nakładem autora wyszła broszura H. W. Hendersona „Why Trouble about Poland? An Open Letter to John Citizen“.

— Nakładem Wydawnictwa S. Burns & Sons w Glasgow ukazała się broszura Johna McKee p. t. „Poland, Russia and Our Honour“.

— Nakładem londyńskiego wydawnictwa William Hodge & Co. Ltd. wyszła broszura J. M. Winiewicz „The Polish-German Frontier“.

— Nakładem londyńskiego wydawnictwa „The New Europe Publishing Co“ wyszedł angielski przekład „Adolfa Wielkiego“ Mariana Hemara: „Adolf the Great“.

— Komitet obchodu 70-lecia zgonu Pawła Strzeleckiego wydał w Londynie broszurę p. t. „Life of Sir Paul Edmund Strzelecki“. Broszurę poprzedził przedmową S. M. Bruce, Wysoki Komisarz Australii, oraz Shane Leslie.

— Mjr A. R. Zawadzki wydał nakładem Sekcji Wydawniczej Armii Polskiej na Wschodzie bogato ilustrowaną mapami i zdjęciami książkę w języku polskim i angielskim p. t. „Polska wyprawa na Grenlandię w 1937 r.“ — Polish Greenland Expedition 1937“.

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Redaktor: St. A. Balicki
Adres Redakcji: Polish Information Centre
Jerusalem, Bezalel Street, House Valero
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.